NR 31 (1955) 4 SIERPNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

40 LAT

PISPLUS



Rys. Marek Sobczyk

Minus Morawiecki
RÓWNA SIĘ WŁADZA?

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- MAŁY ATOM – ŚLISKA SPRAWA
- W STRONĘ NAGOŚCI

eprasa.pl 10f1732c5d

FORUM EKONOMICZNE

DOLNY ŚLĄSK
GŁÓWNY PARTNER

XXXV FORUM EKONOMICZNE

8-10 września
2026

Hotel Gołębiewski
Karpacz



ARCHITEKTURA NOWEGO PORZĄDKU
Stabilność w Czasach Zmian

Forum Ekonomiczne to największa i najważniejsza konferencja w Europie Środkowej i Wschodniej. Już od ponad 30 lat Forum, będące platformą do prowadzenia dialogu, skupia liderów politycznych, gospodarczych i społecznych pochodzących z ponad 60 krajów z całego świata.

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

eprasa.pl 10f1732c5d



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

PiS plus minus Mateusz Morawiecki – czy to może być równanie na odsunięcie Donalda Tuska i jego ekipy od władzy w wyborach roku 2027? W miarę, jak opadają emocje po rozłamie na prawicy, taki scenariusz wydaje się coraz bardziej możliwy. I to z kilku powodów.

Po pierwsze, po stronie wyborców starego, dobrego PiS z lat 2015–2023 i tak dominuje dziś emocja antytuskowa. Przekonanie zaś, że obecny rząd prowadzi Polskę na manowce, wygasza impet rozwojowy i demoluje instytucje państwa, jest zdecydowanie silniejsze od irytacji na zdradę/wypchnięcie (niepotrzebne skreślić) Morawieckiego z PiS. Maślarze i harcerze mogą więc sobie wymyślać, ile tylko chcą, od „zdradzeuszy" albo „intrygantów" (właściwe podkreślić). Ale nie wydaje mi się, by ich wyborcy mieli się z tego powodu śmiertelnie obrazić na jednych albo drugich jednocześnie i zostać na przyszłoroczne wybory w domu. To nie ten moment. Mobilizacja będzie wielka, bo wielka pozostaje stawka gry o Polskę. Dotychczasowe poparcie dla Zjednoczonej Prawicy odwzoruje się zaś przyszłej jesieni w słupkach obu PiS-ów w całości. Otwarta pozostaje tylko kwestia, w jakich proporcjach.

Ktoś powie, że to oznacza stratę stanu posiadania w parlamencie, bo przecież polski system wyborczy premiuje ugrupowania duże. Niby tak. Ale z drugiej strony ostatnie trzy lata od wyborów 2023 roku pokazały, że można być (tak jak PiS) największym i jednolitym ugrupowaniem, tylko... co z tego? Ostatecznie brak sejmowej większości i tak skazuje taką opozycję na rolę żenującego olbrzyma safanduły, który może tylko bezradnie przyglądać się, jak tuskowcy odmawiają mu nawet prawa do własnego wicemarszałka, po kolei zdejmują immunitety kolejnym posłom i nękają prokuraturą i sądami, kogo tylko chcą. Wniosek? Lepsza nawet najbardziej chybotliwa, niespójna i pokłócona, ale jednak większość niż wrażenie spoistości ugrupowania, które jest w mniejszości.

I tak dochodzimy do kolejnej lekcji z sukcesu Tuska w roku 2023. Ileż tam było wtedy kłótni o to, czy iść razem, czy jednak rozpisać się na lewicę, liberałów i centrystów. Oni się wtedy rozpisali i wygrali. Bo okazało się, że ludziom trzeba dać wybór. Tak, by mogli zagłosować na Włodzimierza Czarzastego albo Szymona Hołownię w przekonaniu, że jednak nie głosują na Tuska. Choć przecież było wiadomo, że na koniec i tak popierają obecnego premiera, który przepędzi PiS-owców. Wydzielenie Morawieckiego daje szansę na takie łowienie głosów w różnych nieoczywistych miejscach – od mitycznego centrum po lewicę patriotyczną. A i po stronie PiS-u ułatwi taktycznemu sojuszowi kaczystów i Suwerennej Polski większy radykalizm potrzebny do skutecznego wojowania z obiema Konfederacjami.

Ktoś powie, że podział PiS-u oznacza stratę stanu posiadania w parlamencie, bo przecież polski system wyborczy premiuje ugrupowania duże. Niby tak, ale...

Wiele wyjaśni się jeszcze przed startem jesiennego sezonu politycznego, gdy sondaże się trochę utrzęsą, a emocje uspokoją wraz z coraz wcześniej zachodzącym słońcem i coraz zimniejszymi porankami. Ale to jeszcze za chwilę. Na razie obóz nietuskowy powinien trzymać się starej sprawdzonej zasady: „Keep calm and carry on", czyli po polsku – jak to mawia charyzmatyczny duchowny z Torunia – „Alleluja i do przodu". S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 10f1732c5d

04.08.2026
WYDANIE Nr
31

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Co dalej z PiS?



6 Rozłamowcy i spółka
10 Solidarność, tożsamość, rozwój
14 Co prawicy dało PiS
18 Walka o duszę prawicy

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Miałem do wyboru: samobójstwo, wyrok śmierci albo wyjazd. Dotrzymałem przysięgi. Rozmowa z płk. R. Kuklińskim 22

KRAJ

Referendum klimatyczne. Niech kropla drąży tę skałę 26
Pułapka antytrumpizmu 30
Powracamy po swoich. „Rój” odnaleziony 34

GOSPODARKA

Mały atom – śliska sprawa, czyli o SMR jako Systemowym Mamieniu Rodaków 38

ZAGRANICA

Flamingi idą po godność 42

KULTURA

Eklektyzm jest definicją dobrej sztuki. Rozmowa z P. Kienastem 48
Prawda, wolność i niezłomna nadzieja. Antonina Krzysztoń zaśpiewa w Sali BHP w 45. rocznicę I Festiwalu Piosenki Prawdziwej 53
Co pokazuje sukces „Citizen Vigilante”? 54

SPOŁECZEŃSTWO

W stronę nagości 60

HISTORIA

Jak działała Stocznia Gdańska? 65
Najdzielniejszy z rycerzy kresowych 66

ZWIĄZEK

Co w Związku 70

FELIETONY:

OKRASKA 5
GAC 9
SKWIECIŃSKI 57

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 21
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 46
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 58
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 64
GŁOS REGIONU 72
PRAWO 73

eprasa.pl 10f1732c5d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Palcem po mapie

Premier Donald Tusk zapowiedział wielki plan rozwoju kolei. Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

W III Rzeczpospolitej zlikwidowano ponad 3700 km linii kolejowych. Za drugich rządów Leszka Millera pod nóż poszło 1582 km. Chwilę później Marek Belka dołożył do tego 812 km. Pozostałe cięto głównie za rządów liberałów: Suchockiej, Tuska, Kopacz, Pawlaka. Podobnie z likwidowaniem ruchu pociągów. Tutaj rekordzistą był rząd Jerzego Buzka, dzisiaj europarlamentarzysty PO. Tylko jednego dnia, 3 kwietnia 2000 roku, zlikwidował codzienne kursy na 1028 km.

A PiS? W latach 2005–2007 likwidacji uległo zaledwie 10 km linii, w tym 8 km do wygaszanej kopalni. Po 2015 roku rząd wstrzymał likwidacje. Pierwszy raz w III RP zaczęto odbudowę linii – do 2020 zrobiono to na 200 km.

W 2018 roku premier Mateusz Morawiecki ogłosił program Kolej Plus. Partia Tuska głosowała przeciw finansowaniu tego programu. Zakładał on odbudowę wielu zlikwidowanych tras i przywrócenie połączeń.

Szybko ruszono z inwestycjami. Na przykład w 2020 roku zamówiono dokumentację, a w 2022 roku zaplanowano przywrócenie pociągów do Łomży. Tej samej, którą Tusk niedawno wizytował, chwaląc się powrotem pociągów do miasta. Połączenia pasażerskie do Łomży zlikwidowała w 1993 roku Hanna Suchocka – premier rządu wspieranego przez ówczesną partię Tuska.

Teraz ten sam Tusk ogłosił program „Nasza Kolej”. Ma powstać, bagatela, 4700 km nowych linii. Modernizacja to kolejne 5600 km tras. Horyzont czasowy programu to rok 2050, a nawet 2060. Śmiałe plany ma premier, rocznik 1957.

Realność tych bajeczek obserwuję w swojej okolicy. Za rządów PiS zdecydowano o remoncie linii i odtworzeniu ruchu kolejowego między powiatowym Cieszynem a niegdyś wojewódzkim Bielskiem-Białą przez Skoczów. Ruch pasażerski zawieszono tu za rządów Tuska w 2009 roku. O mały włos nie zlikwidowano linii w 2013 roku.

W latach 2019–2022 wyremontowano odcinek Cieszyn – Skoczów i zyskaliśmy sporo połączeń lokalnych i regionalnych. We wrześniu 2023 roku podjęto decyzję o odbudowie odcinka Skoczów – Bielsko-Biała. Obecnie media lokalne donoszą, że koszty okazały się duże, środków brak, terminy prac znacznie się przesuną. I może trzeba będzie wykorzystać starą infrastrukturę, zamiast zrobić to na nowo na odcinku 22 km. Tacy „modernizatorzy” zapowiadają tysiące kilometrów nowych tras...

Dlaczego Tusk opowiada te bajki? Bo musi. To już nie jest rok 2000, 2007 czy 2013. Rządy PiS pokazały, że można i trzeba rozwijać, zamiast zwijać. Rozbudziły ambicje społeczeństwa niegdyś całkiem stłamszonego. Już wiemy, że należy się i że pieniądze można znaleźć. Wystarczy nie kraść. Choć przy „realizacji” wielkiego słomianego misia o nazwie Nasza Kolej można sporo ukraść. Pardon, zlecić samym swoim.

Czy Tusk nie zbuduje żadnej nowej linii? Czasu zostało mu raczej niewiele. A gdyby nawet rządził dłużej i coś zbudował, to się ucieszę i będę jeździł. To za nasze pieniądze, nie za jego.

Na razie jednak za nasze pieniądze na ich pensje jeżdżą oni pociągami palcem po mapie.

eprasa.pl 10f1732c5d

Temat Tygodnia

ROZŁAMOWCY i spółka

Ludwik Pęzioł

Rzadko zdarza się, by nawet przenikliwym obserwatorom sceny politycznej udało się tak bardzo zamydlić oczy. **Exodus zwolenników Mateusza Morawieckiego** z PiS-u jest pod tym względem prawdziwym fenomenem. Na tyle interesującym, że warto rozłożyć go na czynniki pierwsze.

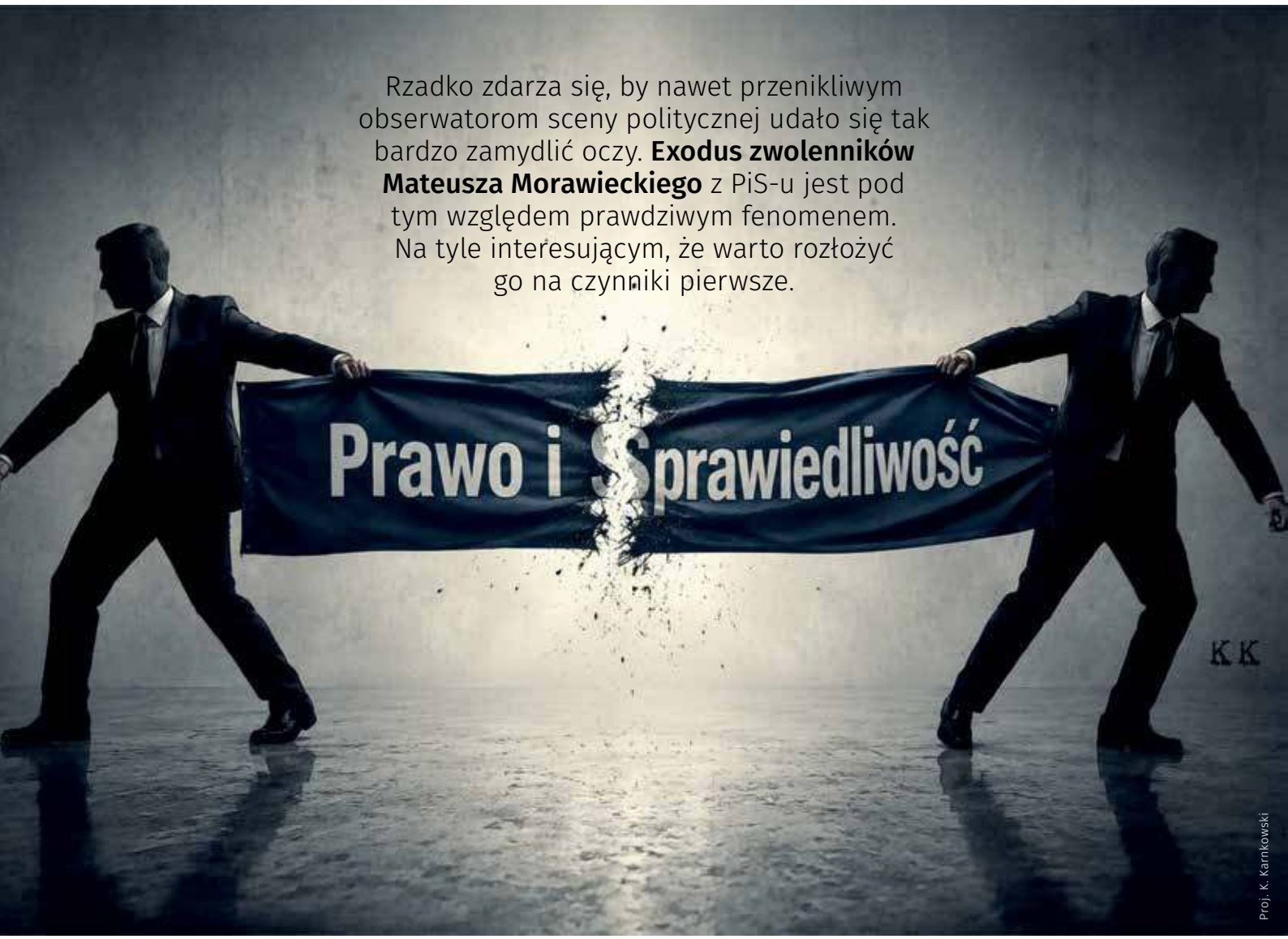

Proj. K. Karnkowski

eprasa.pl 10f1732c5d

Nie jest bez znaczenia sposób, w jaki opuszcza się partię. Można zrobić to po prostu i szczerze, ale to mało pragmatyczne rozwiązanie. Zwłaszcza jeśli główne przyczyny rozłamu są niezbyt chlubne, a jego konsekwencje mogą okazać się fatalne dla środowiska ideowo-politycznego. Wtedy trzeba całość udrapować we wzniosłe motywy, stworzyć wrażenie działania pod wpływem konieczności, a do tego przekonać opinię publiczną, że to my padliśmy ofiarą, podczas gdy prawdziwy duch partii podąża właśnie za nami. Jak na razie byłemu premierowi udaje się odgrywać to przedstawienie całkiem sprawnie.

Prezes bez wyboru

Najpierw ustalmy niepodlegającą interpretacji „oczywistą oczywistość". Choć Morawiecki miał prawo nie zgadzać się z nową strategią prezesa Jarosława Kaczyńskiego – czy to w sprawie wskazania Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera, czy osłabienia pozycji własnego stronnictwa – nie zmienia to faktu, że nie podporządkował się decyzji władz klubu, do czego zobowiązuje go statut partii. Mówiąc suchym, proceduralnym językiem: uchybił obowiązkom członka, których przestrzegania sam zobowiązał się dochować, wstępując do PiS. Oczywiście istnieją nadzwyczajne sytuacje, w których członek partii mógłby odmówić wykonania decyzji władz – na przykład gdyby oczekiwano od niego działań skrajnie niemoralnych czy niezgodnych z prawem. Tego rodzaju okoliczności jednak nie zachodziły. Nie zachodziły również okoliczności uniemożliwiające Morawieckiemu funkcjonowanie w partii. Czy można zatem mówić, że ktoś został „wypchnięty" z jakiejś organizacji, skoro po prostu nie przestrzega zasad, które sam wcześniej zaakceptował? To rzecz jasna pytanie retoryczne.

Przejdźmy teraz do kolejnego twardego faktu dotyczącego stowarzyszenia Morawieckiego. Abstrahując nawet od tego, że generowało ono napięcia, dublowało część funkcji partyjnych i pozwalało byłemu premierowi związać ze sobą jak największą liczbę wartościowych działaczy PiS, przygotowując grunt pod potencjalne odejście, warto skupić się na logicznych sprzecznościach, w jakie mimochodem popadał sam Morawiecki.

Jarosław Kaczyński argumentował, że nie można łączyć działalności partyjnej z aktywnością w tym stowarzyszeniu, m.in. ponieważ organizowane przez nie wydarzenia publiczne mogłyby zostać uznane za próbę obchodzenia przepisów dotyczących finansowania partii politycznych. W konsekwencji PiS mógłby znów utracić finansowanie z budżetu państwa, co byłoby dla ugrupowania ciosem wręcz śmiertelnym. W odpowiedzi Piotr Müller powołał się między innymi na opinię Państwowej Komisji Wyborczej, wydaną w odpowiedzi na pytanie dziennikarza Telewizji Republika Adriana Boreckiego, z której wynikało, że takie ryzyko nie istnieje.

Problem polega jednak na tym, że dwa lata wcześniej sam Mateusz Morawiecki mówił o PKW po decyzji dotyczącej subwencji dla PiS, iż jest ona „całkowicie owładnięta żądzą zemsty i upolityczniona do granic możliwości". Trudno więc jednocześnie utrzymywać, że instytucja jest całkowicie niewiarygodna i działa z pobudek politycznych, a następnie traktować wydaną przez nią opinię jako praktycznie rozstrzygającą spór.

Ponadto miały istnieć – nieujawnione opinii publicznej – „niezależne opinie prawne" zamówione przez Stowarzyszenie Rozwój Plus. Pomijając już sam fakt, że ekspertyzy zlecane przez organizację będącą de facto politycznym zapleczem trudno uznać za w pełni niezależne, warto przypomnieć, że sam Mateusz Morawiecki wielokrotnie podkreślał w mediach, iż jednym z celów działalności stowarzyszenia jest odzyskiwanie wyborców, którzy odpłynęli do innych ugrupowań. Skoro więc sam określał jego misję jako próbę pozyskiwania elektoratu dla PiS, trudno później przekonywać, że mamy do czynienia z ciałem wyłącznie eksperckim, merytorycznym i apartyjnym.

Wszystko to oznacza, że ryzyko utraty finansowania PiS wskutek działalności stowarzyszenia było realne, a Jarosław Kaczyński jako prezes nie mógł sobie pozwolić na jego lekceważenie. Odpowiedzi Morawieckiego, choć deklaratywnie miały rozwiewać takie obawy, w rzeczywistości ich nie rozstrzygały. Przede wszystkim dlatego, że sam były premier popadał w nich w liczne sprzeczności, suto dostarczając PKW argumentów wcześniejszymi wypowiedziami medialnymi.

TO NIE PREZES ZMUSIŁ MORAWIECKIEGO DO ODEJŚCIA, TYLKO MORAWIECKI ZMUSIŁ PREZESA DO ZDECYDOWANEJ REAKCJI.

To prowadzi do kolejnego niewygodnego wniosku – Morawieckiego najwyraźniej nie odstraszało nawet to, że jego działania mogły zagrozić finansowemu przetrwaniu PiS.

Zbierając to wszystko razem, otrzymujemy obraz polityka, który narażał istnienie własnej partii, a gdy został wezwany do zaprzestania tych działań, nie podporządkował się.

eprasa.pl 10f1732c5d

W tym świetle sytuacja wyglądała dokładnie odwrotnie, niż przedstawiał ją sam Morawiecki. To raczej Jarosław Kaczyński nie miał wyboru i został zmuszony do stanowczej reakcji; były premier, prezentując do samego końca upór, sam się więc z PiS „wypchnął", zamiast zostać z niego „wypchniętym". Pewna część sympatyków partii odniosła jednak zupełnie inne wrażenie.

Wielki spektakl

Stało się tak dzięki bardzo sprawnemu rozegraniu całej sytuacji przez byłego premiera i jego środowisko. Punktem wyjścia było stworzenie fałszywej dychotomii. Nie jest tajemnicą, że politycy należący do frakcji przeciwnej Morawieckiemu – obok własnych zwolenników – mają również liczne grono „antyfanów". Osoby takie jak Jacek Sasin, Dariusz Matecki czy Jacek Kurski od lat silnie polaryzują zarówno wyborców PiS, jak i partyjny aktyw. Byli więc idealnymi kandydatami na kozłów ofiarnych rozłamu.

Aby narracja o „wypchnięciu" z PiS mogła się przyjąć, należało za wszelką cenę uniknąć wrażenia, że Morawiecki wypowiada wojnę samemu Jarosławowi Kaczyńskiemu. Tego elektorat PiS najpewniej by nie zaakceptował. Rolę jedynych przeciwników powierzono więc właśnie najbardziej kontrowersyjnym politykom obozu. Prezesa w tej układance praktycznie nie ma. Odbiorca ma wybierać między ekspercim, nienagannie prezentującym się, nowoczesnym i prorozwojowym Morawieckim a – jak chcieliby to przedstawić jego zwolennicy – siermiężnymi aparatczykami, karierowiczami i wulgarnymi propagandystami.

Cel takiego ustawienia osi konfliktu wydaje się oczywisty. Chodziło o to, by ludzie instynktownie stanęli po stronie Morawieckiego, ponieważ na tle swoich adwersarzy wypada korzystniej – nawet jeśli w tej konkretnej sprawie nie ma racji. To klasyczny mechanizm kibicowania temu, kogo bardziej się lubi, niezależnie od meritum sporu. Oddzielenie osobistych sympatii od oceny racji w konkretnym (zwłaszcza skomplikowanym) sporze jest trudne, zwłaszcza gdy odbiorca nieustannie bombardowany jest emocjami. Trzeba też uczciwie przyznać, że sami przeciwnicy Morawieckiego w pewnym stopniu ułatwili mu realizację tej strategii, ponieważ ich ataki często pozostawiały wiele do życzenia pod względem formy. Estetyka przekazu nie przesądza jednak o tym, kto ma rację.

Co jednak zrobić z samym prezesem? Trudno przecież przedstawić go jako jednego z „maślarzy", zwłaszcza jeśli pamięta się jego od dekad niezmienne poglądy, często odległe od tych reprezentowanych przez to stronnictwo. Rozwiązanie jest jednak proste – trzeba uczynić z niego polityka nieświadomego, pozbawionego sprawczości, który sam padł ofiarą „tych złych". Otoczonego przez bezwzględnych podżegaczy, sączących mu do uszu truciznę. Starszego pana, który – choć niegdyś wybitny i wciąż godny szacunku – z racji wieku nie do końca orientuje się już w tym, co dzieje się wokół niego. W tej narracji Jarosław Kaczyński przestaje być świadomym graczem politycznym, a staje się jedynie wykonawcą woli Jacka Sasina i jego otoczenia.

Tylko że to teoria wyjątkowo naiwna. Jeszcze niedawno Kaczyńskiego określano przecież mianem „kingmakera", wskazując na jego kolejne genialne pokerowe zagrywki i zdolność do zaskakiwania przeciwników. Sam Mateusz Morawiecki jeszcze po wyborach przekonywał, że prezes jest w „optymalnej formie", podkreślał jego rolę jako lidera polskiej prawicy i zaprzeczał twierdzeniom, jakoby Kaczyński gdzieś się pomylił. I nagle miałby przeobrazić się w bezradnego staruszka, który zapomniał, na czym polega polityka i gabinetowa gra, stając się łatwym łupem dworskich intrygantów. Narracja środowiska Morawieckiego jest pod tym względem rażąco niespójna, a jej cel wydaje się aż nadto czytelny – wyjąć z całego równania postać Kaczyńskiego, odwrócić uwagę od meritum rozłamu i skłonić ludzi, by po prostu przyznali rację temu, kogo bardziej lubią.

Na koniec

Niezależnie od tego, czy komuś bliższy jest Mateusz Morawiecki, jego wizja polityki czy proponowane przez niego rozwiązania, warto urealnić zniekształcony obraz wydarzeń. To nie prezes – rzekomo owładnięty złowrogimi podszeptami – zmusił Morawieckiego do odejścia. Było odwrotnie: to Morawiecki swoimi narażającymi żywot partii działaniami doprowadził do sytuacji, w której Jarosław Kaczyński musiał zdecydowanie zareagować. To również Morawiecki zwiększył szanse Donalda Tuska na utrzymanie władzy, ponieważ dodatkowo rozdrobnił prawicę (w systemie D'Hondta oznacza to utratę premii „za jedność"), a następnie odegrał polityczny spektakl, mający przekonać wszystkich, że wydarzyło się dokładnie odwrotnie.

NARRACJA ŚRODOWISKA MORAWIECKIEGO JEST RAŻĄCO NIESPÓJNA, A JEJ CEL WYDAJE SIĘ AŻ NADTO CZYTELNY.

Czy przekreśla to możliwość przyszłej współpracy PiS z nowym klubem Morawieckiego, a zapewne w przyszłości także z jego partią? Niekoniecznie. Wyborcy mają jednak prawo wiedzieć, jak ten rozłam wyglądał naprawdę.

eprasa.pl 10f1732c5d

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

A więc rozłam!

Prawo i Sprawiedliwość trawi najpoważniejszy kryzys od lat. Z największej partii opozycyjnej odeszło bowiem ponad 40 parlamentarzystów, na czele z byłym premierem Mateuszem Morawieckim. Najważniejsze pytanie brzmi, czy dotychczasowi towarzysze broni pogrążą się teraz w bratobójczej walce, czy też skupią się na walce z rządem Donaldem Tuska?

Stało się to, w co wielu nie wierzyło, choć dla innych było to oczywiste od dawna – w PiS doszło do przesilenia, w efekcie którego z partii został usunięty/odszedł (proszę sobie wybrać) Mateusz Morawiecki i jego stronnicy. Obiektywnie rzecz biorąc, będzie to zapewne spore osłabienie dla PiS.

Dwa tygodnie pisałem na łamach „TS", że sytuacja w PiS była z serii tych, które męczą już prawie wszystkich, łącznie z głównymi zainteresowanymi. Od dłuższego czasu było podskórnie czuć, że prędzej czy później musi dojść do przecięcia tej sytuacji, bo nie tylko nie sprzyjała ona żadnej ze stron, ale wręcz obu szkodziła. Ostatecznie Jarosław Kaczyński powiedział „sprawdzam", a i Mateusz Morawiecki wytrzymał do końca. W efekcie wraz ze swoimi współpracownikami znalazł się poza PiS.

Kto na tym zyska, a kto straci? Zobaczymy. Taki polityczny rozwód, podobnie jak w życiu, nie jest końcem świata, ale bardzo wiele zależy teraz od tego, co wydarzy się w najbliższych tygodniach. O ile emocje, zwłaszcza te negatywne, są naturalne i zrozumiałe, o tyle jeśli obie strony zajmą się teraz publicznym praniem brudów i kolejnymi atakami, to po prostu stracą. Wyborcy i tak są już wystarczająco zdezorientowani i zniesmaczeni całą tą sytuacją.

Pierwsze dni pokazały jednak, że pomimo apeli Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego o spokój będzie niezwykle trudno. Każdy dzień przynosi bowiem mniejsze i większe ataki, na które czas tracą politycy opozycji. Rzecz jasna, łatwo to pisać z pozycji niezaangażowanego obserwatora, ale jeśli największa partia opozycyjna myśli realnie o przejęciu władzy w przyszłym roku, to powinna się skupić na punktowaniu rządu, przygotowywaniu własnego programu i przekonywaniu do niego wyborców, a nie na odsądzaniu od czci i wiary byłego premiera, który stał na czele ich własnego rządu przez sześć lat. Oczywiście podobną ścieżką powinno pójść również stowarzyszenie Rozwój Plus.

Chociaż prognozowanie jest obarczone ogromnym ryzykiem, bo liczba zmiennych jest spora, to wydaje się, że w perspektywie krótkoterminowej na rozłamie w PiS zyskują nie tylko rząd, o którego problemach nagle się nie mówi, ale i Konfederacja, która może jawić się jako atrakcyjna alternatywa dla rozczarowanych wyborców PiS. Jeśli zaś chodzi o perspektywę długofalową, to... czas pokaże. Pewnym pocieszeniem jest w tym wszystkim to, że w sierpniu nie ma posiedzeń Sejmu, więc może będzie nieco spokojniej.

eprasa.pl 10f1732c5d

Solidarność, tożsamość, rozwój

Do wyborów wszystko zmieni się wielokrotnie, a główna myśl zostanie aktualna. W PiS mówi się czasem o dwóch płucach, tymczasem kluczowe dla jego znaczenia są raczej trzy filary. Niekoniecznie emerytalne.

Krzysztof Karnkowski



Fot. Marcin Banaszkiewicz / FotoNews / Forum

Zacznijmy od ich nazwania i przypisania im pewnej chronologii. Pierwszy był filar tożsamościowy: przywiązanie do narodowej wspólnoty, suwerenności państwa, tradycji, rodziny i konserwatywnego porządku wartości. Nie sprowadzał się on jednak wyłącznie do sporów światopoglądowych, a w fazie pierwotnej, jeszcze w czasach Porozumienia Centrum, wręcz nie miał być z nimi kojarzony. Choć partia odwoływała się do wartości chrześcijańskich, w tym obrony życia, Jarosław Kaczyński był przeciwny modelowi krzykliwego brania tych spraw na sztandary. To wówczas lider PC mówił, że najszybsza droga do dechrystianizacji Polski wiedzie przez Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe.

eprasa.pl 10f1732c5d

Unia ustawia grę

Pamiętajmy, że przed wejściem Polski do Unii pewne problemy wydawały się dużo bardziej abstrakcyjne i miały nas jeszcze przez długie lata w ogóle nie dotyczyć. Wątek tożsamościowy nadawał polityce sens, wskazywał wspólnotę, w której imieniu państwo miało działać, oraz określał granice kompromisu, a często raczej sporu, z dominującym modelem liberalnym prezentowanym zarówno przez postsolidarnościowe siły w rodzaju Unii Wolności, później Platformę Obywatelską, jak i postkomunistyczną lewicę, coraz bardziej liberalną w swych kolejnych wcieleniach. Zmieniały się też akcenty wewnątrz samego rozumienia kwestii tożsamościowej. W czasach PC i później, w czasie dominacji, a następnie słabnięcia obozu postkomunistycznego, bardzo ważne pozostawały postulaty lustracyjne i dekomunizacyjne. Mieściła się w tym też emocja antysowiecka czy też antyrosyjska, którą stopniowo uzupełniał komponent eurorealizmu – krytyczne spojrzenie na poszerzanie własnych kompetencji przez biurokrację UE, w tym rosnący nacisk na sfery oficjalnie pozatraktatowe, takie jak kwestie światopoglądowe czy praworządność. Nie był to natomiast eurosceptycyzm rozumiany jako postulat najpierw odrzucenia członkostwa w UE w referendum, a później – opuszczenia Unii jako takiej. Natomiast w miarę wkraczania Brukseli w kolejne dziedziny życia ze szkodą bądź dla polskich wartości, bądź polskiej gospodarki wzrastały nastroje przeciwko uczestnictwu naszego kraju w poszczególnych rozwiązaniach – i stopniowo coraz większy na to nacisk pojawiał się w przekazie tożsamościowym Prawa i Sprawiedliwości. W jeszcze większym stopniu podchwyciła go uczestnicząca przez dwie kadencje jako odrębny człon Zjednoczonej Prawicy Solidarna, a później Suwerenna Polska, która potrafiła nawet zajmować stanowisko sprzeczne z polityką własnego rządu, co dziś stanowi element okołopodziałowych narracji w PiS. Tym bardziej że w tej sprawie to Mateusz Morawiecki nie docenił przeciwnika, a – mam wrażenie – zarówno Morawiecki, jak i sam prezes Kaczyński zbyt długo traktowali Unię jako partnera, na którego deklaracjach można polegać.

Solidarność w państwie liberałów

Drugi filar to solidaryzm społeczny wyniesiony z dziedzictwa Sierpnia ’80 i społecznej nauki kościoła, zaktualizowany przez surową ocenę skutków transformacji ustrojowej, trwającej od 1989 roku, tak naprawdę rozpoczętej jeszcze co najmniej rok wcześniej. PiS odrzucało przekonanie, że wzrost gospodarczy samoczynnie poprawi sytuację wszystkich obywateli prezentowaną przez zwolenników Leszka Balcerowicza raczej jako uzasadnienie abdykacji państwa z wpływu na kolejne dziedziny życia i los obywateli niż z troski o cokolwiek poza zyskami elit. Państwo miało wyrównywać szanse, chronić rodziny, pracowników, emerytów, mieszkańców mniejszych miejscowości i tych, którzy ponieśli największe koszty transformacji. Rozwój miał być oceniany nie tylko przez wysokość PKB, lecz także przez to, czy jego owoce są rzeczywiście dzielone przez całą wspólnotę. W pierwszych latach III RP PC opowiadało się za szybkim przejściem do gospodarki rynkowej, demonopolizacją, prywatyzacją i wzmacnianiem własności prywatnej. Pod tym względem było wyraźnie bardziej liberalne gospodarczo niż późniejsze PiS. Nie akceptowało jednak prywatyzacji nomenklaturowej, proponując reprywatyzację oraz powszechny akcjonariat obywatelski i pracowniczy, aby majątek państwowy nie trafił wyłącznie do ludzi dawnego systemu. Krytykowało zarówno dawną nomenklaturę, jak i tę część elit solidarnościowych, która – zdaniem partii – porzuciła społeczne postulaty Sierpnia. Po latach zaczęty wtedy proces dopełnił się, gdy starając się o poparcie tej samej, niezadowolonej z gnicia państwa pod rządami postkomunistów grupy wyborców, PiS postanowiło odróżnić się od PO, mocno podkreślając swój społeczny przekaz i trafnie definiując podział na Polskę solidarną i liberalną. To wówczas pierwszy raz tak mocno splotły się w politycznej opowieści dwa rodzaje wykluczenia III RP – tych, którzy stali się bardziej ofiarami niż beneficjentami transformacji, i środowisk,

> PRZED WEJŚCIEM POLSKI DO UNII PEWNE PROBLEMY WYDAWAŁY SIĘ DUŻO BARDZIEJ ABSTRAKCYJNE I MIAŁY NAS JESZCZE PRZEZ DŁUGIE LATA W OGÓLE NIE DOTYCZYĆ.

eprasa.pl 10f1732c5d

którym odmawiano udziału w debacie publicznej jako hołdującym wartościom niedzisiejszym, nieprzystającym do liberalnej i coraz bardziej oderwanej od swych korzeni Europy. Jak zauważa publicysta „Tygodnika Solidarność" Marek Nowak, PiS był pierwszą partią, która dała Polakom realny wybór, ponieważ wcześniej żadna z sił politycznych nie kwestionowała kierunku gospodarczych przemian. Choć w sferze haseł w pierwszych latach III RP zdarzało się to jeszcze środowiskom postkomunistycznej lewicy, praktyka jej rządów wpisywała się w ten sam balcerowiczowski schemat, realizowany przez pozostałe gabinety. Możliwość realnego wyboru sprawiła, że wzrosła aktywność wyborcza Polaków, a to spowodowało również zmiany na scenie politycznej jako takiej. To dało PiS pierwszą wygraną w 2005 roku, to również, w jeszcze większym stopniu, utorowało wielki powrót tej partii do władzy 10 lat później. W czasach rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego udało się idee te przełożyć na praktykę wyrównywania różnic, zarówno w wymiarze jednostkowym, przede wszystkim poprzez świadczenie 500 plus, jak i państwowym. Dokonała tego rezygnacja z modelu dyfuzyjno-polaryzacyjnego na rzecz równomiernego rozwoju i wspierania traktowanych wcześniej po macoszemu regionów kraju. Symbolem zarazem nowego podejścia, jak i oporu dawnego systemu była sprawa dworca we Włoszczowie, a więc inwestycja z czasów pierwszych rządów PiS. Udostępnienie nowoczesnej międzymiastowej kolei poprawiło mobilność i jakość życia mieszkańców nie tylko jednej miejscowości, lecz także całego regionu, równocześnie na lata stało się obiektem kpin zarówno liberalnych polityków, jak i telewizyjnych kabaretów. Niestety opór ten okazał się bardzo silny – stały za nim zarówno potężne kompleksy, jak i pieniądze pozwalające wytworzyć odpowiedni klimat medialny.

Wielki projekt

Trzeci filar stanowi modernizacja, do której, odbierając PiS władzę w 2007 roku, odwołała się również PO, lecz w czasie swych rządów nie dotrzymała tej obietnicy: sprawne państwo, infrastruktura, reindustrializacja, innowacje, nowe technologie, polski kapitał i zdolność realizowania wielkich projektów rozwojowych. W czasach PC, co było dość naturalne, program skupiał się raczej na doganianiu Zachodu, na bardziej ambitne cele było zdecydowanie przedwcześnie. Później modernizacja nie miała oznaczać mechanicznego kopiowania Zachodu ani zastępowania polityki wartości technokratycznym zarządzaniem. Jej zadaniem było dostarczenie narzędzi pozwalających urzeczywistnić cele wynikające z dwóch pozostałych filarów. Bez ich wcześniejszego wzmocnienia nie byłaby możliwa, stanowiła też ich dopełnienie. PiS wzmocniło bowiem poziom zaspokojenia bardziej podstawowych potrzeb i – niczym w piramidzie Maslowa – pozwoliło skierować narodową wyobraźnię na nowe tory. Równocześnie modernizacja ta została zakotwiczona w tożsamości, stając się realnym przedłużeniem patriotyzmu. Nowe pomysły miały więc równocześnie poprawiać sytuację Polaków i wypełniać ich aspirację, równocześnie wzmacniając pozycję Polski w obiegu światowej gospodarki, jej konkurencyjność i – co ważne w tak niepewnej sytuacji międzynarodowej – bezpieczeństwo. Niestety, już w końcówce rządu premiera Morawieckiego zaczął pojawiać się w PiS spór o rozłożenie akcentów. Wspomniana już wcześniej dynamika relacji z UE przełożyła się na różne rozłożenie akcentów w poszczególnych frakcjach – w bardziej technokratycznej grupie Morawieckiego dominował temat modernizacji, Suwerenna Polska i część prawego skrzydła PiS stawiały na twardy przekaz tożsamościowy. I choć w kampanii wyborczej to właśnie wątków modernizacyjnych częściowo zabrakło, a Morawiecki skupiał się zbyt często na krytyce Tuska, po stracie władzy ten spór dodatkowo się zaostrzył. Doprowadziło to do partyjnego sporu, którego skutki widzimy dziś. Grupa byłego premiera wydawała się w nim zbyt słabo eksponować wątek tożsamościowy, a jego oponenci skupili się głównie na nim, dużo mniej eksponując tematykę modernizacyjną. Co więcej, na co zwracaliśmy uwagę już w czasie kampanii prezydenckiej, PiS zaczęło przejawiać brak zainteresowania swym filarem

> PiS WZMOCNIŁO POZIOM ZASPOKOJENIA BARDZIEJ PODSTAWOWYCH POTRZEB I – NICZYM W PIRAMIDZIE MASLOWA – POZWOLIŁO SKIEROWAĆ NARODOWĄ WYOBRAŹNIĘ NA NOWE TORY.

eprasa.pl 10f1732c5d

społecznym, ścigając się o elektorat z partiami liberalnej, choć tożsamościowej prawicy, które w międzyczasie mocno urosły na naszej scenie politycznej. Pierwszą jaskółką tej zmiany była już modyfikacja nazwy koalicjanta, a dziś frakcji w ramach PiS, z „Solidarnej" na „Suwerenną Polskę".

Konieczność syntezy

Tu dochodzimy do problemu, przed którym staną zapewne wszyscy politycy tworzący w 2023 roku Zjednoczoną Prawicę. Polska potrzebuje zarówno solidarności, jak i suwerenności i rozwoju. Frakcje lub ugrupowania, które będą eksponować poszczególne wątki kosztem pozostałych, nie stanowią pełnej odpowiedzi na potrzeby swoich wyborców. Oczywiście nie znaczy to, że będą skazane na polityczny niebyt, w wariancie optymistycznym, lecz wciąż realnym, wymusi to na nich współpracę już po opadnięciu dzisiejszych emocji. Nie zmienia to faktu, że tylko PiS jako partia było, przynajmniej do 2023 roku, bytem nie tyle podzielonym, ile komplementarnym, a dziś poszczególnym grupom komplementarności tej brakuje. – W momencie, gdy PiS się zwracało do ludzi wykluczonych w III RP, czy to do konserwatystów, których tożsamości i wrażliwości się nie szanowało, czy to przez elektorat wykluczony ekonomicznie, po pierwsze mówiło im, że są Polakami ważnymi tak samo, jak ta druga strona. Oprócz tego wstawiało jednak tę historię w projekt modernizacyjny, mówiąc, że możemy zbudować państwo sprawniejsze, technokratyczne i do tego jeszcze dużo lepsze, dużo sprawiedliwsze. Wreszcie – dużo sprawniejsze pod kątem funkcjonowania państwa niż ci, którzy zawsze wmawiali, że oni to potrafią rządzić lepiej. W tym sensie ta propozycja była pełna, a po ewentualnym rozpadzie zostaną dwie niepełne propozycje – mówi Marek Nowak. Dodajmy, że sam przekaz modernizacyjny bez rozpoznania pozbawiających społeczeństwa tożsamości i podmiotowości zakusów globalnych elit może być zaskakująco archaiczny, pomijający bowiem rosnący konflikt między „górą" a „dołem", coraz częściej determinujący światową politykę, na co zwraca uwagę inny z naszych autorów, Ferdynand Fodder.

PiS potrzebuje więc wszystkich nurtów, które były dotąd obecne w tej partii. Jeśli nie jest możliwe trwanie pod jednym szyldem, musi dokonać się to w ramach przyszłej koalicji. W przeciwnym razie czeka nas ostateczna utrata co najmniej jednego z tych komponentów. Historia uczy nas, że możemy wówczas bardzo szybko stracić wszystkie – suwerenność, bezpieczeństwo socjalne i potencjał modernizacyjny. A tego nikt przecież nie chce.

Z głębokim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

Zdzisława Maszkiewicza

przewodniczącego Zarządu Regionu
NSZZ „Solidarność" Ziemia Radomska,
członka Komisji Krajowej NSZZ „S".

W imieniu Komisji Krajowej
NSZZ „Solidarność"
składam szczere wyrazy współczucia
rodzinie, bliskim i przyjaciołom Zmarłego.

Piotr Duda

przewodniczący
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"

Z ogromnym smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

Kazimierza Pasternaka

zastępcy przewodniczącego Zarządu Regionu
Świętokrzyskiego NSZZ „Solidarność"
w latach 1991–2023.

W imieniu
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"
łączę się w bólu z rodziną, bliskimi
i przyjaciółmi Zmarłego,
składając najszczersze wyrazy współczucia.

Piotr Duda

przewodniczący
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"

eprasa.pl 10f1732c5d

Co prawicy dało PiS

Łatwo narzekać na podzielone PiS z pozycji prawicowych, gdy wartości konserwatywne są silne i dominują w dużej części elektoratu. Ale jest tak dlatego, że pogardzany Jarosław Kaczyński **przez lata oddolnie**, wbrew postkomunistycznym układom, forsował prawicowe narracje.

Jakub Pacan

Szerokie spektrum polskiej prawicy niezwiązanej z PiS, niemogącej się przez lata pogodzić z hegemonią Jarosława Kaczyńskiego i jego formą prawicowości zaczyna powoli domykać epopeję tej partii w polityce i wyliczać wszystkie przewiny prezesa przez lata działalności jego formacji. Pomijając fakt, że robią to przedwcześnie, bo PiS nadal jest największą partią prawicową w Sejmie, trochę to nawet komiczne i nieco w krzywym zwierciadle przypomina utyskiwania narodowców na dziedzictwo Józefa Piłsudskiego, który zmarł w 1935 roku. Prasa i publicystyka tamtego okresu narzekaniem przypominają dzisiejsze rozliczenia naczelnika Kaczyńskiego.

Prawicowy upór

Owszem, PiS popełniło wiele błędów, a te najbardziej kardynalne w oczach wyborców prawicy dotyczyły polityki wokół pandemii COVID-19 i kwestii ukraińskiej. Błędy te powodują, że PiS do dzisiaj od przegranych wyborów w 2023 roku „krwawi" na rzecz nie kogo innego, lecz Grzegorza Brauna. Do tego można dołożyć piątkę dla zwierząt, uległość wobec UE, ale też Stanów Zjednoczonych, Nowy Ład i wiele innych.

Łatwo jednak narzekać na „łże-prawicę", gdy prawica w ogóle i wartości konserwatywne są w Polsce silne, okrzepły, dominują w agendzie i dużej części elektoratu. Ale właśnie prawica i jej wartości są silne dlatego, że ten marginalizowany, wyśmiewany, pogardzany Jarosław Kaczyński i ludzie z kręgów solidarnościowo-prawicowych przez lata oddolnie, z uporem, wbrew postkomunistycznym układom medialno-politycznym i bez pieniędzy forsowali swoje racje, udowadniali, że patologie toczące Polskę nie są jedynie wynikiem ich wyobraźni, ale rzeczywistością, za którą płaci cały naród.

Nawet jeśli pewien model prawicowości prezentowany przez prezesa się wypalił, to z czystej uczciwości trzeba przypomnieć, że siła dzisiejszej prawicy, także tej nie-PiS-owskiej, oczywistość pewnych twierdzeń politycznych, jak choćby o niszczącym układzie postkomunistycznym czy fakt, że patriotyzm jest ważny, nie byłyby możliwe lub funkcjonowałyby w skarlałej formie na obrzeżach polityki, gdyby nie Kaczyński i jego środowisko.

Niektórzy twierdzą, że gdyby nie Kaczyński to prawica wyglądałaby całkiem inaczej, byłaby bardziej prawicowa, bardziej czysta ideowo i doktrynalnie, bo on zaległ na całą prawą stronę sceny politycznej niczym złowrogi cień i nie dozwolił prawdziwej prawicy się rozwinąć. Otóż pojawiały się dziesiątki inicjatyw, najbardziej znane to partia Janusza Korwin-Mikkego czy Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Nic nie wychodziło, kil-

> MIMO WIELU BŁĘDÓW, KTÓRE POPEŁNIŁ JAROSŁAW KACZYŃSKI, WARTO MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE WARTOŚCI KONSERWATYWNE I PRAWICOWOŚĆ MAJĄ SIĘ DZIŚ DOBRZE W POLITYCE I SPOŁECZEŃSTWIE W DUŻYM STOPNIU DZIĘKI JEGO WALCE I UPOROWI.

eprasa.pl 10f1732c5d



Fot. Mateusz Włodarczyk / Forum

ka procent, to wszystko. Ba, w arcykatolickiej Polsce nie powstała partia prawdziwie katolicka i chyba nie z winy Kaczyńskiego.

Wszystkim narzekaczom można więc zadać pytanie, gdzie byli, gdy bracia Kaczyński domagali się elementarnego upamiętnienia ofiar zbrodni komunistycznych, Powstańców Warszawskich, Żołnierzy Wyklętych? I nawet jeśli ta prawdziwa prawica też czciła bohaterów narodowych na swój sposób, to nie mieli tyle siły i talentu politycznego, by wynieść te patriotyczne sprawy tak wysoko, jak zrobili to Kaczyńscy. Inaczej można zapytać, w którym miejscu w najnowszej historii Polski byliby dzisiaj np. Żołnierze Wyklęci, pojęcie polskiej racji stanu czy interesu narodowego, gdyby nie było barci Kaczyńskich w polskiej polityce?

Jarosław Kaczyński podczas uroczystości upamiętniających Powstanie Warszawskie przy Pomniku Gloria Victis na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach; Warszawa, 01.08.2017 r.

Warto zrobić retrospekcję polityki godnościowej, którą PiS prowadziło przez wszystkie lata swojego istnienia. W przeciwieństwie do wcześniejszych rządów III RP, które traktowały tożsamość narodową i etos polityka-państwowca lekceważąco, PiS uznało je za strategiczne narzędzie prowadzenia polityki wewnętrznej i zagranicznej. Kiedy bierze się publicystykę np. „Gazety Wyborczej" z lat 90., można znaleźć niezrozumiałą dziś pogardę dla państwa polskiego, lekceważenie tego, co dla narodu święte, i dogmatyczny zapał w obalaniu mitów narodowych.

Pamięć oczyszczona z pogardy

Kaczyńscy podnieśli z chodnika i oczyścili z pogardy nie tylko politykę pamięci. Wraz z nią rozwijała się polityka godnościowa, której centralnym elementem stało się przekonanie o konieczności odbudowania podmiotowości państwa polskiego i przywrócenia narodowi poczucia dumy z własnej historii i dziedzictwa.

Szczególnie Lech Kaczyński był przekonany, że po latach komunistycznej dominacji po 1989 roku Polska odzyskała niepodległość formalną, lecz nie odzyskała pełnej podmiotowości kulturowej i symbolicznej. Dlatego tak ważne były dla niego przypominanie bohaterów narodowych, przywracanie pamięci o ofiarach totalitaryzmów, obrona dobrego imienia Polski za granicą, przeciwdziałanie fałszowaniu

eprasa.pl 10f1732c5d

historii i wzmacnianie dumy narodowej.

Momentem przełomowym było zbudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego w 2004 roku. Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy dopiął ten projekt mimo ściany niechęci ze strony lewicowo-liberalnych elit. Muzeum stało się symbolem nowego sposobu opowiadania historii.

Wyśmiewany projekt IV Rzeczypospolitej wprowadził jednak do świadomości Polaków rzecz bezcenną – przekonanie, że nie da się być poważnym europejskim państwem, nie dbając o własny, egoistycznie pojęty interes. Pomysł IV RP był znacznie szerszy niż reforma instytucji państwowych. W jego centrum znajdowała się walka z pedagogiką wstydu i rehabilitacja pojęć wypaczonych w okresie PRL, jak etos i godność służby publicznej, powaga dla instytucji państwa.

Projekt IV RP zakładał, że wspólnota narodowa wymaga pozytywnego obrazu własnej historii i dokonań. Państwo zaś ma za zadanie aktywnie przeciwdziałać narracjom przedstawiającym Polskę jako kraj współodpowiedzialny za tragedie XX wieku. Po drugie, podkreślano konieczność odzyskania podmiotowości w relacjach międzynarodowych. W tym kontekście historia i wytykana Polakom martyrologia były traktowane jako jeden z instrumentów polityki zagranicznej. Po trzecie, akcentowano potrzebę budowania dumy narodowej poprzez eksponowanie bohaterstwa Polskiego Państwa Podziemnego, Armii Krajowej, Solidarności oraz osób ratujących Żydów podczas II wojny światowej.

Kolejna oczywistość, ważna dla prawicy w Polsce, przeforsowana dzięki PiS, to nowelizacja ustawy lustracyjnej z 2006 roku. W 2007 roku Trybunał Konstytucyjny zakwestionował część jego przepisów, jednak katalog osób zobowiązanych do składania oświadczeń lustracyjnych obejmował m.in. nauczycieli akademickich, dziennikarzy, adwokatów, radców prawnych, dyrektorów szkół i kierownictwo instytucji publicznych. Według nowelizacji każdy miał prawo dostępu do akt służb specjalnych PRL z IPN dotyczących osób pełniących najważniejsze funkcje w państwie.

W końcu to dzięki konsekwentnej polityce PiS Żołnierze Wyklęci stali się nowym mitem państwowym. W latach 90. ich temat funkcjonował głównie w środowiskach kombatanckich i historycznych. Po 2005 roku sytuacja zaczęła się zmieniać. IPN dostał zielone światło i fundusze na szeroko zakrojone badania naukowe, wystawy, publikacje oraz konferencje naukowe. Dzisiaj politycy jednej i drugiej Konfederacji mogą m.in. składać kwiaty pod miejscami poświęconymi pamięci o Żołnierzach Wyklętych także dlatego, że Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych ustanowił Sejm z inicjatywy prezydenta Lecha Kaczyńskiego 3 lutego 2011 roku, a samorządowcy z ramienia PiS dbali, by lokalnie jak najwięcej takich miejsc upamiętnić.

Niezgoda na banalizację Polski

Stałym punktem polityki PiS-u była niezgoda na „pedagogikę wstydu" i uprawianie przez znaczną część elit III RP krytycznej historiografii dziejów Polski. Zamiast tego promowano hasła wstawania z kolan i dumy narodowej. W praktyce za rządów PiS różnie z tym bywało, jednak nie da się nie zauważyć różnicy w podejściu do UE i Europy między pokoleniem młodych Polaków a pokoleniem ich rodziców i dziadków. Młodzi nie mają absolutnie żadnych kompleksów wobec zachodniej części Europy.

Politycy PiS nie pozwolili w końcu, by temat katastrofy smoleńskiej został zbagatelizowany i zredukowany do krzyża z puszek po piwie Lech i oddany dziczy sikającej na znicze pod Pałacem Prezydenckim. Ludziom związanym z Jarosławem Kaczyńskim i Antonim Macierewiczem udało się uczynić z „katastrofy posmoleńskiej", jak słusznie Rafał Ziemkiewicz nazwał abdykację rządu

WSZYSTKIM NARZEKACZOM MOŻNA ZADAĆ PYTANIE, GDZIE BYLI, GDY KACZYŃSCY DOMAGALI SIĘ ELEMENTARNEGO UPAMIĘTNIENIA OFIAR ZBRODNI KOMUNISTYCZNYCH, POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH, ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH? NIKT NA PRAWEJ STRONIE NIE WYNIÓSŁ TYCH SPRAW TAK WYSOKO W PAŃSTWIE JAK ONI.

eprasa.pl 10f1732c5d

Donalda Tuska wobec strony rosyjskiej w sprawie tej katastrofy, nowe doświadczenie pamięci zbiorowej. Dzięki zabiegom PiS pamięć o katastrofie doprowadziła do powstania nowego rytuału pamięci. Miesięcznice smoleńskie, uroczystości rocznicowe, pomniki oraz działalność społecznych komitetów pamięci stworzyły trwały system symboli, który funkcjonował niezależnie od bieżących wydarzeń politycznych.

Reparacje wojenne i przeciwstawienie się Niemcom, uderzenie ich w miękkie podbrzusze, tego elementu polityki PiS nie można umniejszać. Raport przygotowany przez zespół Arkadiusza Mularczyka oszacował straty Polski poniesione podczas II wojny światowej na ponad sześć bilionów złotych. Dla PiS sprawa reparacji miała znaczenie znacznie szersze niż finansowe. Przedstawiano ją jako symboliczne domknięcie skutków II wojny światowej, element odbudowy podmiotowości państwa, przypomnienie skali strat poniesionych przez Polskę, sprzeciw wobec relatywizowania odpowiedzialności Niemiec.

W latach 2015–2023 polityka godnościowa przestała być hasłem publicystycznym. Stała się jednym z podstawowych elementów narracji państwowej, prawica, także ta nie-PiS-owska, czerpała z tego pełnymi garściami. Owszem, biorąc pod uwagę potencjał gospodarczy Polski wobec Niemiec czy UE, czasem więcej w działaniach PiS było buńczucznych słów niż realnego działania. Ale próby o wywalczenie lepszej pozycji Polski na pewno były. Osiem lat rządów PiS i działalność tej partii od 2001 roku na stałe wniosły do kultury politycznej III RP takie zasady jak aktywną obronę dobrego imienia Polski, prawo do dumy ze swojej historii, uwzględnienie polskiej krzywdy w relacjach z Niemcami czy Rosją, porzucenie pedagogiki wstydu, wzmacnianie postaw propaństwowych, obrona wartości chrześcijańskich i rehabilitacja bohaterów narodowych.

I na koniec – to Jarosław Kaczyński spowodował, że w Pałacu Prezydenckim zasiedli Lech Kaczyński, Andrzej Duda – na dwie kadencje – i Karol Nawrocki. A gdyby zamiast nich prezydentami byli przedstawiciele liberalnej lewicy?

PiS prawdopodobnie w sposób trwały utraciło możliwość narzucania standardów i wytycznych po prawej stronie sceny politycznej. Zaczyna się nowe otwarcie i jeszcze większe rozmrożenie systemu partyjnego w Polsce. Zakon PC i twardy elektorat PiS już raczej się na nie nie załapią. Modne stanie się odcinanie od PiS i dziedzictwa Jarosława Kaczyńskiego. Dla uczciwości, mimo wielu błędów, które popełnił, warto mieć świadomość, że wartości konserwatywne i prawicowość mają się dziś dobrze w polityce i społeczeństwie w dużym stopniu dzięki jego walce i uporowi.

STAŁYM PUNKTEM POLITYKI PiS-U BYŁA NIEZGODA NA „PEDAGOGIKĘ WSTYDU" I UPRAWIANIE PRZEZ ZNACZNĄ CZĘŚĆ ELIT III RP KRYTYCZNEJ HISTORIOGRAFII DZIEJÓW POLSKI.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ



eprasa.pl 10f1732c5d

Walka o duszę prawicy

Rozpad PiS nie jest przede wszystkim wynikiem osobistych animozji, to raczej efekt procesu wyczerpywania się formuły głównych, polskich partii politycznych. Formacje Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska **przestały być atrakcyjne** dla niemal połowy wyborców.

Mariusz Staniszewski

Nie ma już większego znaczenia, czy Mateusz Morawiecki został z Prawa i Sprawiedliwości wypchnięty, czy też od dawna planował swoje wyjście. Rozwód jest bolesny, choć obie strony robią wszystko, by nie spalić za sobą wszystkich mostów. Wśród polityków obu zwaśnionych dziś stron panuje przekonanie, że prędzej czy później nastąpi ponowne połączenie. Pewnie najistotniejsze jest, na jakich odbędzie się to warunkach.

Kłótnia dwóch starców

Dla znacznej części wyborców konflikt na linii Jarosław Kaczyński – Donald Tusk jest zupełnie niezrozumiały. Nie interesują ich historyczne podziały, agenturalność Lecha Wałęsy czy stosunek do Kościoła. Dla pokoleń, dla których obecność w Unii Europejskiej, swobodne podróżowanie po świecie i pewien poziom dobrobytu są oczywistością, kłótnie i złośliwości liderów dwóch najważniejszych ugrupowań przestały mieć znaczenie. Są czymś całkowicie nieaktualnym czy wręcz uciążliwym. Na PiS i KO głosowało kiedyś blisko 70 procent wyborców, dziś ugrupowania te skupiają uwagę zaledwie połowy Polaków.

Gdy PiS sprawowało władzę, potrafiło odpowiadać na wyzwania nowoczesności – cyfryzowało państwo, budowało infrastrukturę, uruchomiło system świadczeń społecznych, które podniosły zamożność obywateli, rozpoczynało wielkie projekty mające zaspokoić aspiracje Polaków. Temu wszystkiemu towarzyszyła jednak wyjątkowo prymitywna propaganda oraz wyniszczające boje z Unią Europejską o przestrzeganie praworządności. PiS nie stało się symbolem modernizacji państwa, choć miało w tej dziedzinie ogromne zasługi. Zaciążył na nim październikowy system komunikowania się.

Do tego partyjni działacze zachłysnęli się władzą. Rozsiedli się w gabinetach spółek i rządowych agencji, zapewnili dobre stanowiska członkom rodzin, innymi słowy – czerpali pełnymi garściami. Struktury PiS w terenie w dużej mierze przestawały działać, bo zajęły się konsumowaniem sukcesów.

PiS nie zauważyło, że przez osiem lat Polska – także dzięki ich rządom – znacznie się zmieniła. Inne stały się oczekiwania i wymagania, ale także zmieniła się estetyka. Politycy partii Kaczyńskiego nie potrafili narysować nowych linii podziału, gdyż żyli w błogim przekonaniu, że wyborcy z wdzięczności za poprawę warunków życia nagrodzą ich kolejną kadencją.

Znacznie lepiej ten moment zrozumiał Donald Tusk, budując opowieść o powszechnym złodziejstwie. Umiał zbudować emocję, która w głowach dużej części wyborców pozostała do dziś.

Ale połowa wyborców nie chce ani październikowej władzy, ani nieudaczników od Tuska. Problemy przeniosły się o poziom wyżej.

To nie my, to on

Polacy, którzy nie pamiętają już stanu wojennego, upadku komunizmu, nawet trudnych lat transformacji lat 90. XX wieku, nie odczuwają żadnej więzi z politykami, których języka i problemów nie rozumieją. Pragną świeżości i prostych rozwiązań. Nudzi ich geopolityka, uwarunkowania, makroekonomia. Nie chcą przyglądać się technice rządzenia, bo od metod ważniejsze są dla nich efekty. Stąd właśnie bierze się popularność Konfederacji oraz Konfederacji Korony Polskiej. Recenzują ekipy, które sprawowały władzę lub właśnie ją dzierżą, i przedstawiają proste recepty na szczęście. Ostre i jednoznaczne.

Rosnące poparcie dla obu tych formacji zachęciło najbardziej krewkich polityków PiS – szczególnie z dawnej

> NEGACYJNA WERSJA RZĄDÓW PiS WYDAŁA SIĘ SZCZEGÓLNIE ATRAKCYJNA TYM, KTÓRZY CHCIELI SIĘ POZBYĆ Z PARTII BYŁEGO PREMIERA.

Suwerennej Polski – do pójścia w te ślady. Przystąpili więc do frontalnego ataku na wszystkich, którzy układali się z Unią Europejską, pomagali niewdzięcznej Ukrainie czy kazali za-

eprasa.pl 10f1732c5d

kładać maseczki. Po latach zatarła się pamięć o tym, w jakich warunkach rządzili Beata Szydło i Mateusz Morawiecki, więc jednoznaczne sądy świetnie się sprzedają. Przynoszą nie tylko popularność, ale i pieniądze z publikowanych w internecie rolek.

Tyle tylko że im bardziej radykalni harcownicy z PiS odsądzali od czci i wiary Mateusza Morawieckiego, tym bardziej przesuwali wyborców swojej partii w kierunku Konfederacji. Ich indywidualne poparcie rosło, ale ugrupowania – spadało.

Dla nich był to jasny sygnał, że jeśli cała formacja przejdzie transformację w à la Braun i Mentzen, to odbierze im wyborców. Jednak droga ta prowadziła wprost do wyzbycia się PiS-owskiej tożsamości. Powiedzenia: Zielony Ład, polityka covidowa, masowe szczepienia, wzrost składki zdrowotnej – to nie nasza wina, wszystkiemu winny jest Morawiecki. Coraz bardziej okazywało się, że osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości to było pasmo udręk i porażek, których trzeba się wyprzeć. Były szef rządu okazał się zaś zdrajcą, niemieckim agentem i kolegą Tuska.

Jakby zapomnieli, że przez ostatnią dekadę polityka, którą firmował, przyniosła im pasmo wyborczych zwycięstw.

Partia starego stylu

Negacyjna wersja rządów PiS wydała się szczególnie atrakcyjna tym, którzy chcieli się pozbyć z partii byłego premiera. Przecież konflikt ziobrystów z Morawieckim trwa od lat, a zmieniało się jedynie jego natężenie.

O ile do wyborów prezydenckich udało się wewnętrzną walkę utrzymać w ryzach, to od roku konflikt stał się całkowicie otwarty. Zwłaszcza że ochraniany do tej pory przez prezesa PiS Morawiecki czuł rosnącą siłę. Chciał być już nie tylko premierem kolejnego rządu, lecz także przywódcą całej prawicy.

Zarówno on, jak i jego przeciwnicy zdawali sobie sprawę, że rzeczywiście ma największe szanse, by objąć schedę po coraz starszym Jarosławie Kaczyńskim. Im bardziej otwarcie były premier zgłaszał swoje ambicje, tym zacieklej był atakowany.

Morawiecki doskonale zdaje sobie jednak sprawę z tego, że władzy w partii nikt nie da mu na tacy. Buławę przywódcy trzeba sobie wywalczyć. Wtedy właśnie powołał do życia stowarzyszenie Rozwój Plus, by pokazać, że nie jest już singlem wiszącym u klamki Jarosława, ale samodzielnym bytem, który potrafi zagrać brutalnie.

Musiało więc dojść do przesilenia. Zwłaszcza że partyjni przeciwnicy byłego szefa rządu – Jacek Sasin, Patryk Jaki, Mariusz Błaszczak i wielu innych – połączyli siły, by go pokonać. Przychodzili do prezesa PiS codziennie, informując go o spotkaniach w terenie, graniu na siebie, budowaniu swojej pozycji i rosnącej popularności. Pomysł zmuszenia członków stowarzyszenia do podpisania lojalek pojawił się już kilka miesięcy temu, ale wówczas Jarosław Kaczyński uznał go za zbyt radykalny. Wiedział doskonale, że polityk takiej miary jak



Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Morawiecki nie ugnie się pod presją ultimatum.

PiS znalazło się więc w klinczu – z jednej strony radykalne skrzydło podważało sukcesy ośmiu lat rządów prawicy, z drugiej – obcy w partii Morawiecki przejmował schedę po tych rządach. Na dodatek kandydat na premiera Przemysław Czarnek nie poprawił notowań partii, a zamiast tego zaliczył kilka spektakularnych wpadek, które jaskrawo pokazywały, jaki dystans dzieli go od Morawieckiego.

Rozwód nieco bolesny

Gdy prezes PiS ogłosił wreszcie swoje ultimatum, stało się jasne, że oznacza to podział. Nie było tylko pewności, ilu posłów zabierze ze sobą były premier. Okazało się, że ponad czterdziestu, co nie tylko zaskoczyło Kaczyńskiego, ale także stało się jego poważną osobistą porażką.

Mimo ostrych ataków w pierwszych dniach – czego apogeum było ohydne wystąpienie Jacka Kurskiego – obie strony dość szybko zaczęły uważać, by nie wykopać rowów na tyle głębokich, by nie dało się ich zasypać.

W tej historii jest przecież wiele ironii. Morawieckiego za rozbijanie PiS najbardziej zaciekle atakowali ci, którzy przecież sami w przeszłości dokonywali secesji. Tak przecież powstała Solidarna Polska, która później przyjmując antyunijne hasła, zmieniła pierwszy człon nazwy na „Suwerenna”.

eprasa.pl 10f1732c5d

Ta suwerenność skończyła się, gdy z podkulonym ogonem politycy, którzy marzyli o emancypacji – Zbigniew Ziobro, Patryk Jaki, Jacek Kurski – wrócili do PiS, a prezes przyjął ich jak synów marnotrawnych.

Z drugiej strony Mateusz Morawiecki zajął miejsce tych, których najmocniej zwalczał, czyli rozłamowców z Solidarnej Polski. Powtarza on dziś takie same zdania, które kilka lat temu mówił Ziobro.

Istotniejsze jest jednak to, co wydarzy się w ciągu kilku najbliższych miesięcy.

Szybki marsz

Rozwój Plus ma przed sobą krytyczne trzy, cztery miesiące. W tym czasie musi zbudować struktury, przyciągnąć ludzi, którzy nie chcą PiS-u przypominającego Konfederacje, ale także tych zawiedzionych rządami Tuska.

Sam Morawiecki jest człowiekiem wyjątkowo pracowitym i wytrwałym. Na spotkania z nim zawsze przychodziły tłumy. Do tej pory jednak był jedną z twarzy PiS. Czy jako rozłamowiec również będzie budził taki entuzjazm? Twardy elektorat może uznać go za zdrajcę i odrzucić.

Kolejną zagadką jest aktyw PiS w terenie. Wielu ludzi jest sfrustrowanych obecnym zarządzaniem partii, gdyż szefowie struktur wojewódzkich blokują większość inicjatyw idących od młodych, ambitnych działaczy. Morawiecki może być dla nich szansą na zmianę i awans.

Wraz z byłym premierem odeszła też grupa zdolnych i błyskotliwych posłów – Marcin Horała, Janusz Cieszyński, Paweł Jabłoński, Szymon Szynkowski vel Sęk, Krzysztof Szczucki czy Olga Semeniuk-Patkowska – którzy są w stanie przyciągać uwagę wyborców. Do tego dochodzi jeszcze zaprzyjaźniony z byłym premierem Instytut Sobieskiego, który skupia wielu zdolnych fachowców umiejących przygotować spójny program.

Jeśli w najbliższym czasie Rozwój Plus zamieni się nie tylko w partię, ale także w ruch społeczny domagający się jakości polityki, Morawiecki może wyrosnąć na silnego gracza na prawicy. Zwłaszcza że teraz bez ogródek może piętnować wszystko, co w PiS było obciachowe.

Jeśli jednak jego inicjatywa nie nabierze tempa, kolejni posłowie będą po cichu skruszeni wracać do Kaczyńskiego, a on przyjmie ich z radością.

Ożywienie czy radykalizacja

Secesja polityków skupionych w stowarzyszeniu Rozwój Plus może zadziałać także ożywczo na nieco zmurszały PiS. Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin czy Tobiasz Bocheński nie będą już mogli mówić, że kampania im nie wychodzi, gdyż torpeduje ją były premier.

Teraz nikt nie stoi im na drodze, mają wolną rękę. Jeśli się nie wykażą, zostaną przesunięci do drugiego szeregu. Niemrawe prace nad programem będą musiały przyspieszyć, gdyż pod tym względem były premier wyprzedza ich o kilka długości. Ale przecież sporo zdolnych i ambitnych polityków w PiS zostało, z pewnością będą chcieli zająć miejsce po rozłamowcach.

Największym zadaniem będzie jednak opanowanie harcowników z Suwerennej Polski, którzy przejęli dziś przekaz PiS, robiąc z partii Kaczyńskiego formację antyunijną, antyukraińską i roszczeniową. Do tej pory byli potrzebni, by równoważyć rosnące wpływy Morawieckiego, teraz staną się obciążeniem. Zwłaszcza że dalsza radykalizacja ugrupowania będzie napędzała poparcie secesjonistom.

Jeśli PiS zdoła odzyskać tożsamość i stanie się na powrót przewidywalny, otrząśnie się z marazmu i przedstawi plan nowoczesnego rządzenia Polską, kolejny kongres programowy może być przełomem.

> SECESJA POLITYKÓW SKUPIONYCH W STOWARZYSZENIU ROZWÓJ PLUS MOŻE ZADZIAŁAĆ TAKŻE OŻYWCZO NA NIECO ZMURSZAŁY PIS.

Wiosenne zjednoczenie

Choć dziś obie strony podkreślają swoją odrębność, to w pewien sposób są na siebie skazane. Kaczyńskiemu zawsze będzie bliżej do Morawieckiego niż do Bosaka, Mentzena, Brauna czy Kosiniaka-Kamysza.

Trudno sobie dziś wyobrazić, by którakolwiek z prawicowych formacji uzyskała na tyle duże poparcie, by rządzić samodzielnie. Jeśli Donald Tusk odda władzę po przyszłorocznych wyborach, a wiele na to wskazuje, potrzebna będzie koalicja. Ponieważ system liczenia głosów promuje większych, oba ugrupowania mogą liczyć na większe poparcie, gdy sojusz zawrą jeszcze przed wyborami.

Do tej pory secesjoniści przed powrotem do PiS musieli przejść przez czyściec wyborów, które realnie pokazywały ich miejsce w szeregu. W przypadku formacji Morawieckiego może to nastąpić szybciej, gdyż nie ma na to czasu. Głównym celem obu członów PiS jest przecież odsunięcie od władzy Donalda Tuska i srogi rewanż za prześladowania. Każdy ma tu do wyrównania rachunek krzywd.

Po cichu więc politycy z obu stron mówią o wiosennym kongresie scaleniowym, po którym znów na scenie pojawi się Zjednoczona Prawica.

eprasa.pl 10f1732c5d

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

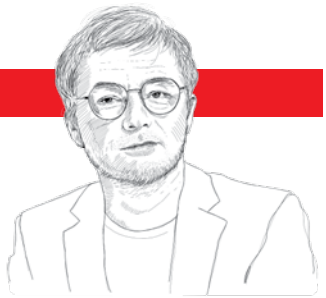

Sławojki 2.0

Jan Wróbel

Sławomir Mentzen namieszał swoim wpisem o murzyńskich stopach mytych w szopenowskim zlewie. Mam nadzieję, że podniesiony przez niego ważny społecznie problem doczeka się rozwiązania na poziomie ustawodawstwa krajowego.

Bo zakładam, że w tej jednej sprawie zapanuje w Polsce ponadbańkowa zgoda: na dworcach i lotniskach powinniśmy instalować nisko zawieszone umywalki do stóp. Higiena, rozkosz i wygoda, którą doceni każdy, kto ma za sobą (i przed sobą) długie turystyczne wojaże.

Mieliśmy w naszej historii sławojki – oznaczały one wychodki promowane przez premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego. Nie ma się z czego śmiać, drewniane wychodki stanowiły znaczący krok naprzód w stosunku do upowszechnionego korzystania z życia na otwartej przestrzeni. Dzisiaj jednak takie wychodki widuje się w skansenach, za niemałe pieniądze. Zatem śmiało można założyć, że parterowa umywalka zyska miano nowej sławojki. Tak się właśnie przechodzi do historii.

Chyba że jednak z niezrozumiałych przyczyn mycie stóp uznamy za sygnał zwycięstwa fali barbarzyństwa. I to wiecie jakiego. Kolorowego... My, Polacy, myjemy nogi tylko w domu, wstydliwie – oni myją je bezwstydnie. Wszędzie. I to tylko dlatego, by były czyste (chyba każdy widzi, jak słaba to motywacja). Już niedługo sprzedawcy plakietek, obok „Mój pies jest spokojny, ale za siebie nie ręczę" i „Tych klientów nie obsługujemy" wyprodukują całą nową serię: „Mój zlew, moja Ojczyzna" i „Twierdzą nam będzie każdy próg łazienki".

Żarty żartami, ale mam do Sławomira Mentzena pretensje o ten głupi wpis. Było nie było inteligentny człowiek, nie tak dawno poważny kandydat na urząd prezydenta RP, ważny punkt odniesienia dla wielu, zwłaszcza młodych wyborców... A wpis o tym, że Murzyn myje na naszym lotnisku nogi, jakbyśmy „byli we Francji", tchnie podwórkowym rasizmem. Ha, zobaczcie, czarny nie umie się zachować. Pakuje nogę do „zlewu", w towarzystwie kolegi o skórze „śniadej", bo jest przedstawicielem niższej, obcej nam kultury myjącej czarne stopy. Nasze są białe.

Jest możliwe, że niejeden Czytelnik czuje się jakoś źle podczas lektury tego felietonu, a nie wie dlaczego. Spieszę z najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. Chodzi o krytykę rasizmu. Owszem, na ogół nie jesteśmy rasistami. Nic ładnego, a i często blisko nam do Kościoła katolickiego, powszechnego z zasady. Jednak przyjęło się w całej Europie, że krytyka rasizmu to zagranie z arsenału liberalnej lewicy. Ona jest szlachetna, a prawica be. I mamy rezultat – odruchowe ustawianie się ludzi prawicy w kontrze do ataków ze strony znacznej części lib-lewicy. Prawicowiec (Mentzen znaczy) odwołuje się do rasistowskich uprzedzeń, lewica krytykuje, bo rasizm, panie kochany, uwaga, idą faszyści..., a prawica, nawet widząc paskudną treść wpisu Mentzena, milczy. Bo jeszcze ktoś by pomyślał, że z lewakami trzyma.

> PRAWICA, NAWET WIDZĄC PASKUDNĄ TREŚĆ WPISU MENTZENA, MILCZY. BO JESZCZE KTOŚ BY POMYŚLAŁ, ŻE Z LEWAKAMI TRZYMA.

eprasa.pl 10f1732c5d

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Pułkownik Ryszard Kukliński odegrał jedną z **kluczowych ról** w historii zimnej wojny. W rozmowie z Józefem Szaniawskim, opublikowanej w numerze 37 (260) „Tygodnika Solidarność” z 1993 roku, opowiadał o motywach swojej współpracy z wywiadem USA oraz kulisach jednej z najbardziej ryzykownych operacji tego okresu. Wspominał także grożącą mu karę śmierci, życie na emigracji i niemożność powrotu do wolnej już Polski. Z okazji 45-lecia „Tygodnika Solidarność” przypominamy tę historyczną rozmowę.

Miałem do wyboru: samobójstwo, wyrok śmierci albo wyjazd.

Dotrzymałem przysięgi

*z pułkownikiem **Ryszardem Kuklińskim** rozmawia **Józef Szaniawski***


Wybierz Solidarność!

Pułkownik Kukliński specjalnie dla Tygodnika: — Kreml nie zapomina. Dwukrotnie uniknąłem porwania

DR R. KUSZLEYKO ZESPÓŁ DORADCZY

Tygodnik Solidarność

Nr 37 (260) Rok VI 10 września 1993 Cena 6000 zł

zapamiętaj ÓSEMKA numer bez kantów lista bez kanciarzy

Miałem do wyboru: samobójstwo, wyrok śmierci albo wyjazd

Dotrzymałem przysięgi

Z pułkownikiem RYSZARDEM KUKLIŃSKIM rozmawia JÓZEF SZANIAWSKI

PIOTR SKÓRZYŃSKI

„Norblin” i inni


4 POLITYKA

Tydzień w historii Polski

Dotrzymałem przysięgi

rozmowa z pułkownikiem RYSZARDEM KUKLIŃSKIM

eprasa.pl 10f1732c5d

– Od 12 lat jest Pan emigrantem politycznym. Jak się Pan czuje w Ameryce?

– Czuję się małą cząstką Polonii amerykańskiej. Sądzę, że podobnie jak wszyscy Polacy znalazłem się w Stanach zmuszony do emigracji jakimiś okolicznościami. Oczywiście, mój przypadek był wyjątkowy, ale tak samo tęsknię za Polską jak wszyscy, chociaż żyję tutaj w dość dobrych warunkach, otoczony szacunkiem i autentyczną ludzką przyjaźnią.

– Jednak istnieje zasadnicza różnica pomiędzy Panem a innymi Polakami w Ameryce: ciąży na Panu wyrok śmierci ogłoszony, co prawda, w Warszawie, ale faktycznie wydany w Moskwie. Ten komunistyczny wyrok uniemożliwia Panu jakiekolwiek wizyty w Ojczyźnie, którą Pan miał zdradzić...

– Nigdy nie zdradziłem Ojczyzny, dochowałem żołnierskiej przysięgi, jaką składałem na wierność narodowi polskiemu. Wstąpiłem do Wojska Polskiego jako 17-letni chłopak w roku 1947. Wtedy jeszcze śpiewaliśmy „Rotę", chodziliśmy do kościoła. Nigdy nie byłem zbyt pobożny, ale pamiętam, że wtedy modliliśmy się w wojsku.

Przysięga wojskowa, którą składałem po wstąpieniu do Wojska Polskiego, nie brzmiała tak, jak to miało miejsce już w kilka lat później. Nie była to przysięga, która tak jasno formułowała poddańczy stosunek do Związku Sowieckiego i Armii Czerwonej. Po roku 1948 wszystko się zmieniło. I potem to nie ja się zmieniłem, tylko przysięgi się zmieniały. Co jakiś czas coś tam dawali nam do podpisywania, ale były to tylko papierki.

– Nie był Pan jedynym wyższym oficerem Wojska Polskiego skazanym przez polski sąd na karę śmierci, który musiał emigrować do Ameryki. Ponad 200 lat temu generał Kazimierz Pułaski również został skazany zaocznie na karę śmierci za to, że walczył o suwerenność Rzeczypospolitej z Rosjanami oraz wysługującymi się im zdradzieckimi Polakami. Ówczesne państwo polskie, podobnie jak PRL, też formalnie było niepodległe, a w rzeczywistości podporządkowane Rosji.

– Nigdy nie zdradziłem Polski! Nigdy nie zdradziłem narodu polskiego i mojej Ojczyzny. Wiem, że w latach 1945–1989 istniały stale tajne kontakty pomiędzy Wojskiem Polskim a Armią Stanów Zjednoczonych. Nie bylem jedynym, który je podtrzymywał, ale przyszedł moment, że to ja musiałem przejąć tę sztafetę. Jestem z tego dumny. Stany Zjednoczone w okresie zimnej wojny przez 45 lat działały przeciwko Imperium Zła, przeciwko sowieckiemu militaryzmowi, a na korzyść Polski. Mam czyste sumienie. Zawsze działałem na korzyść Polski, a historia już przyznała mi rację.

– Zajmował Pan newralgiczne stanowisko w Sztabie Generalnym. Osobiście sądzę, że jako oficer musiał Pan mieć odwagę nie tylko wojskową, ale także cywilną. Czy naprawdę nie bał się Pan przez kilkanaście lat?

– W Sztabie Generalnym Wojska Polskiego byłem szefem Oddziału Planowania Strategiczno-Obronnego, a zarazem zastępcą szefa Zarządu Operacyjnego. Tak się składało, że z okien swego gabinetu w Sztabie Generalnym przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie widziałem codziennie po drugiej stronie ulicy osławione więzienie mokotowskie, obserwowałem nawet więźniów wyprowadzanych na spacer. Było to dla mnie memento.

Zdawałem sobie sprawę, że gdyby wykryła mnie bezpieka lub informacja, dostałbym się do tego więzienia i żywy nigdy bym z niego nie wyszedł. Chyba że przekazano by mnie do KGB, do Moskwy na Łubiankę...

PRZECIĘTNY POLAK NIE ZDAWAŁ SOBIE SPRAWY, ŻE W OKRESIE ZIMNEJ WOJNY, W FAZACH KRYZYSU POLSKA STAŁA W OBLICZU TOTALNEJ, BIOLOGICZNEJ ZAGŁADY, NAJWIĘKSZEJ W CAŁEJ SWEJ TYSIĄCLETNIEJ HISTORII. GUZIKI DO URUCHOMIENIA AGRESJI ZNAJDOWAŁY SIĘ W MOSKWIE.

– Z jakich pobudek Pan działał, jak doszło do Pańskiej współpracy z wywiadem Stanów Zjednoczonych, kiedy to się stało i w jakich okolicznościach?

– Nie mam nic do ukrycia w moim życiu, mogę mówić o wielu sprawach, ale wiele jeszcze sekretnych informacji zobowiązany jestem

eprasa.pl 10f1732c5d

zachować dla siebie. Brałem udział w wielu poważnych przedsięwzięciach przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ale nie mogę jeszcze o tym opowiadać.

Nikt na świecie w ciągu ostatnich 40 lat nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak. Narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, Kukliński konsekwentnie dostarczał niezwykle cennych, wysoce tajnych informacji na temat Armii Sowieckiej, planów operacyjnych i zamierzeń Związku Sowieckiego, przez co przyczynił się w bezprecedensowy sposób do utrzymania pokoju. Ci, którzy znają Kuklińskiego osobiście, widzą w nim człowieka wielkiego charakteru, odwagi, polskiego patriotę i bohatera.

WILLIAM CASEY,
dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej USA

Polsce nie z własnego wyboru na 45 lat przypadł system komunistyczny i izolacja od Zachodu. W okresie zimnej wojny nie można było dopuścić, aby Wojsko Polskie było całkowicie odizolowane od NATO. W pozostałych sferach było lepiej – utrzymywano kontakty gospodarcze, kulturalne. Pozostawienie sfery militarnej w izolacji było zbyt ryzykowne dla Polski i Polaków.

Miałem zaszczyt i honor w latach 70. sprawić, by kontakty Wojska Polskiego ze strukturami militarnymi NATO, a zwłaszcza USA, stały się bardziej efektywne. Amerykanie po wojnach w Korei i Wietnamie tracili zaangażowanie do obrony Europy przed komunistycznym totalitaryzmem sowieckim. Ameryka była słaba i nie miała interesu bronić Europy.

Chcę zwrócić uwagę na jedną niezmiernie ważną kwestię. Moje kontakty z USA rozpoczęły się od krytyki doktryny i polityki militarnej NATO i USA. Przyszedłem do Amerykanów z pewnymi koncepcjami. Zająłem się przedstawieniem sposobu uniknięcia najgorszego – chodziło o dozbrojenie i korektę doktryny obronnej NATO. Mógł Pan przeczytać w znanej publikacji o mnie w „Washington Post”, iż przekazałem Amerykanom 30 tysięcy dokumentów w języku rosyjskim, zresztą nigdy ich nie liczyłem. Moim głównym motywem było otwarcie Amerykanom oczu na istniejące zagrożenia sowieckie.

– Jakie to były zagrożenia?

– Amerykanie, kraje NATO, musieli zrozumieć, że ich słabość prowokuje agresję sowiecką. Z perspektywy czasu na plus mogę zaliczyć próbę przekonania USA i NATO do zastosowania w Europie opcji konwencjonalnej. Brak z ich strony wystarczającego uzbrojenia konwencjonalnego, w obliczu ogromnej przewagi Armii Sowieckiej, niedostrzeganie tego faktu rodziło poważne niebezpieczeństwo dla całej Europy, a szczególnie dla Polski.

Niedostatecznie uzbrojony Zachód, niedostatecznie uzbrojone NATO miały tylko jedną alternatywę w przypadku wojny – poddać się i przejść do radzieckiego „folwarku zwierzęcego” lub bronić się posiadanym potencjałem, czyli bronią nuklearną. Broni nuklearnej nie można było użyć na obszarach państw broniących się, bo nie było sensu zamieniać ich w popiół. Zbyt ryzykowne było więc użycie broni nuklearnej przeciwko Związkowi Sowieckiemu, aby powstrzymać Armię Czerwoną.

– Armia ta musiała przejść najkrótszą drogą do Europy Zachodniej przez terytorium PRL?

– Tak, i Zachód byłby wtedy zmuszony do użycia broni atomowej na naszym terytorium, na tzw. ziemi niczyjej. Przeciętny Polak nie zdawał sobie sprawy, że w okresie zimnej wojny, w fazach kryzysu Polska stała w obliczu totalnej, biologicznej zagłady, największej w całej swej tysiącletniej historii. Guziki do uruchomienia agresji znajdowały się w Moskwie. Polacy mieli jedynie wykonywać rozkazy z Kremla.

– Czy uważa Pan, że Pańska współpraca z wywiadem Stanów Zjednoczonych wpłynęła na zmniejszenie tego ryzyka dla Polski?

– Doświadczenie historyczne uczy, że satelici opuszczają potęgi pod wpływem strat i klęsk. Tak było w czasie II wojny światowej z Hitlerem i jego sojusznikami. Tak samo mogło być podczas niedoszłej wojny ze Związkiem Sowieckim i państwami Układu Warszawskiego. Trzeba było zapobiec stratom i katastrofie, trzeba było coś zrobić, trzeba było znaleźć sposoby uniknięcia najgorszego. Trzeba było tak działać, żeby tym razem Polak był mądry przed szkodą. Jako oficer, jako sztabowiec,

eprasa.pl 10f1732c5d

jako Polak miałem obowiązek to zrobić. Uważam, że udało mi się to w znacznym stopniu.

– Panie Pułkowniku, działał Pan zupełnie bezimiennie, nikt w Polsce o tym nie wiedział. Nawet Pańską ewakuację z kraju władze komunistyczne utrzymywały przez wiele lat w tajemnicy. Jak to było?

– Decydując się na współpracę ze Stanami Zjednoczonymi, nigdy nie podpisałem żadnej deklaracji, niezbędnej przy podejmowaniu współpracy szpiegowskiej. Nigdy też nie pobierałem od Amerykanów żadnego wynagrodzenia. Moje życie codzienne przypominało stąpanie po polu minowym – jeden nierozważny krok mógł skończyć się dla mnie katastrofą.

Szczegółowe plany na temat wprowadzenia w 1981 roku stanu wojennego przekazałem Amerykanom. We wrześniu 1981 roku nastąpił przeciek i zdałem sobie sprawę, że mogę zostać zdekonspirowany przez bezpiekę. Zdawałem sobie też sprawę, że moje aresztowanie może być wykorzystane jako dowód propagandowy na współpracę Solidarności ze służbami specjalnymi USA.

Nigdy w życiu nie myślałem, że będę musiał zamieszkać poza granicami Polski. Miałem do wyboru: albo samobójstwo, albo więzienie i wyrok śmierci, albo wyjazd.

– Jak to się stało, że opuścił Pan Polskę w 1981 roku, natomiast wyrok śmierci wydano na Pana dopiero w trzy lata później, w 1984 roku, w zaocznym kapturowym procesie? Dlaczego tak późno doszło do tego procesu i czy próbowano wykonać na Panu ten wyrok?

– Są dowody na to, iż co najmniej dwukrotnie były podejmowane próby porwania mnie z terytorium Stanów Zjednoczonych i sprowadzenia do PRL. Istnieją nawet poszlaki, iż celem tego porwania miała być Moskwa, aby tam postawić mnie przed plutonem egzekucyjnym. Służby specjalne posiadają pewne dowody na to, że uprowadzenie mnie lub zabicie było wspólną operacją planowaną przez polską bezpiekę i sowieckie KGB.

MIAŁEM ZASZCZYT I HONOR W LATACH 70. SPRAWIĆ, BY KONTAKTY WOJSKA POLSKIEGO ZE STRUKTURAMI MILITARNYMI NATO, A ZWŁASZCZA USA, STAŁY SIĘ BARDZIEJ EFEKTYWNE.

– Od 12 lat musi się Pan ukrywać, nawet w USA, przed zemstą SB i KGB, a w kraju, w suwerennej III Rzeczypospolitej, władze nie podjęły żadnej decyzji w sprawie zdjęcia z Pana haniebnego komunistycznego wyroku. Czy czuje się Pan rozgoryczony?

– Wiem, dlaczego zapytał Pan o to i chciałbym, aby Pan wiedział, że to nas bardzo łączy. Przez długie lata był Pan represjonowany za działalność polityczną, a w ciągu naszych amerykańskich spotkań poznaliśmy się na tyle, że zrozumiem, iż łatwiej było Panu zapomnieć długie lata peerelowskiej więziennej poniewierki, niż niecały rok oczekiwania w tym samym więzieniu na wolność i rehabilitację w warunkach, kiedy Polska odzyskała wolność, do czego w jakimś stopniu i Pan się przyczynił. To musiało być coś gorszego od rozgoryczenia.

Co do mnie, to wiem, że wiele osób w Polsce czeka, żebym sam poprosił o łaskę lub o przebaczenie. NIGDY TEGO NIE ZROBIĘ! Byłoby to poniżej mojej godności. Nie jestem winny. Nie czuję wyrzutów sumienia. Wszystko, co robiłem – robiłem z myślą o Polsce.

MAM CZYSTE SUMIENIE. ZAWSZE DZIAŁAŁEM NA KORZYŚĆ POLSKI, A HISTORIA JUŻ PRZYZNAŁA MI RACJĘ.

Wywiad przeprowadzono w lipcu i sierpniu 1993 r. w USA [przyp. redakcji].

eprasa.pl 10f1732c5d

Referendum klimatyczne.

NIECH KROPLA DRĄŻY TĘ SKAŁĘ

Polacy nigdy nie wypowiedzieli się bezpośrednio na temat realizacji unijnej polityki klimatycznej. Nikt nas nie pytał, czy jesteśmy „za” lub „przeciw” i czy chcemy więcej płacić za gaz w imię zielonej transformacji. Dzisiaj, gdy widzimy, jak ceny energii coraz mocniej duszą gospodarkę, to pytanie staje się **jak najbardziej zasadne**. Czy polscy senatorowie oddadzą w tej sprawie głos narodowi i zgodzą się na prezydencką inicjatywę ogólnopolskiego referendum?

Marcin Krzeszowiec



Fot. M. Żegliński

eprasa.pl 10f1732c5d

Prezydent Karol Nawrocki złożył drugi wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Pierwsza próba zakończyła się fiaskiem, ponieważ politycy obozu rządowego uznali, że postawione pytanie zawierało w sobie tezę. Podczas majowego głosowania większość senatorów odrzuciła propozycję głowy państwa, by 27 września Polacy udali się do lokali wyborczych i wyrazili swoje zdanie na temat: „Czy jest Pan/Pani za realizacją unijnej polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?".

Spoglądając na tę sytuację z perspektywy czasu, można wysnuć przypuszczenie, że prezydent chciał najpierw wysondować, jakie argumenty podniosą przeciwnicy referendum, by następnie zbić je, składając po raz drugi wniosek o przeprowadzenie ogólnopolskiego głosowania. Nowe pytanie zaproponowane przez Pałac Prezydencki brzmi już neutralnie: „Czy jest Pani/Pan za realizacją przez Polskę polityki klimatycznej Unii Europejskiej", choć na karcie do głosowania mają zostać zamieszczone „oficjalne wyjaśnienia określające konsekwencje wyboru poszczególnych odpowiedzi".

„Zmiana brzmienia pytania nie oznacza wycofania się z oceny gospodarczych i społecznych konsekwencji polityki klimatycznej. Oznacza natomiast usunięcie argumentu formalnego, którego użyto, aby zamknąć obywatelom drogę do urn. Skoro poprzednio twierdzono, że przeszkodą jest ocenny charakter pytania, obecnie tej przeszkody już nie ma. Pozostaje zatem wyłącznie zasadnicze pytanie polityczne: czy rząd i wspierająca go większość parlamentarna ponownie spróbują odebrać Polakom prawo głosu, mimo że pytanie zostało sformułowane w sposób prosty, jednoznaczny i pozbawiony kwestionowanego wcześniej elementu" – napisano w prezydenckim uzasadnieniu wniosku o referendum.

Głosowanie nie dojdzie do skutku?

O tym, że prezydent Nawrocki zamierza po raz drugi złożyć wniosek referendalny do Senatu, poinformował jako pierwszy szef jego gabinetu Paweł Szefernaker.

Krótko potem w mediach pojawiły się anonimowe wypowiedzi senatorów, że żadnego wniosku referendalnego oni nie poprą, bo to droga do polexitu, a ponadto prezydent wetuje im ustawy, więc dlaczego nie odpłacić mu pięknym za nadobne.

Nie ukrywając swojego nazwiska, wypowiedziała się natomiast wicemarszałek Senatu. Magdalena Biejat zapowiedziała, że Nowa Lewica nie zgodzi się na zorganizowanie głosowania w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

Podczas briefingu w Olsztynie przekonywała, że prezydent Nawrocki „próbuje po raz kolejny zgłosić referendum, którego jedynym celem jest stworzenie atmosfery pod wyjście Polski z Unii Europejskiej". – Nie miejmy co do tego złudzeń. Wyjście z unijnej polityki klimatycznej to wyjście z UE i prezydent Nawrocki do tego prze. Na razie ubiera to w ładne słowa, na razie mówi, że to wszystko jest po to, żeby dbać o nasze dobro i o dobro ludzi – stwierdziła Magda Biejat. – Ale o nasze dobro, o nasze portfele również dba ten rząd. Nie tylko realizując politykę klimatyczną, która ma nas uniezależnić od paliw kopalnych, przez które rosną ceny prądu i ceny żywności, ale również na przykład poprzez twardą negocjację nowych celów klimatycznych tzw. systemu ETS – przekonywała.

To odwrócenie logiki może szokować. Przecież europejskie gospodarki tracą swoją konkurencyjność nie dlatego, że korzystają z paliw kopalnych, tylko dlatego, że je dodatkowo opodatkowują, by spełnić cele klimatyczne. Gdybyśmy spalali węgiel i gaz jak Chiny, USA czy Indie – bez opłat wynikających z systemu ETS – to ceny energii i żywności byłyby niższe, a nie wyższe.

Wie o tym choćby Grupa Azoty, która wykorzystuje do produkcji nawozów gaz – paliwo kopalne obciążone opłatami za emisję CO_2. Zatem jeżeli ceny żywności są wyższe, to właśnie z powodu unijnej polityki klimatycznej, a nie z racji paliw kopalnych – tym bardziej że gaz jest niezbędny do produkcji nawozów.

„Gaz z jednej strony wykorzystujemy do pozyskania energii, ale w znaczącej części, np. w przypadku amoniaku, ponad 60 procent tego

„SKORO POPRZEDNIO TWIERDZONO, ŻE PRZESZKODĄ JEST OCENNY CHARAKTER PYTANIA, OBECNIE TEJ PRZESZKODY JUŻ NIE MA" – UZASADNIENIE PREZYDENCKIEGO WNIOSKU O PRZEPROWADZENIE REFERENDUM KLIMATYCZNEGO.

eprasa.pl 10f1732c5d

gazu wraca do fizycznego produktu. [...] Nasze obciążenia związane z ETS-em nie uwzględniają tego, że my tego surowca po prostu nie przepalamy i on w 100 procentach nie idzie na emisje, tylko on de facto jest zawracany w wyrafinowanych procesach. To jest kolejny element chociażby po to, żeby w ogóle Grupę Azoty jako producenta nawozów wyłączyć z tej wspólnej polityki, nawet ETS-owej" – zaznaczył prezes Grupy Azoty Marcin Celejewski w rozmowie z portalem Farmer.pl podczas 18. Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

EUROPEJSKIE GOSPODARKI TRACĄ SWOJĄ KONKURENCYJNOŚĆ NIE DLATEGO, ŻE KORZYSTAJĄ Z PALIW KOPALNYCH, TYLKO DLATEGO, ŻE JE DODATKOWO OPODATKOWUJĄ, BY SPEŁNIĆ CELE KLIMATYCZNE.

Cement, stal i ceramika

O tym, że Zielony Ład szkodzi polskim firmom przemysłowym i utrudnia konkurencję z zagranicznymi producentami, wie doskonale sektor hutnictwa.

Największy producent stali w naszym kraju ArcelorMittal Poland w swoim „Raporcie Zrównoważonego Rozwoju" za 2025 rok jasno wskazał, jakie są główne wyzwania dla jego działalności biznesowej. Przedsiębiorstwo wymieniło między innymi wysokie ceny energii oraz uprawnień do emisji CO_2, a także „napływ do Unii Europejskiej stali z krajów trzecich, w których produkcja nie jest obciążona opłatami za emisję dwutlenku węgla".

„Warunki, w jakich przez ostatnie lata funkcjonuje przemysł, są trudne z powodu obciążeń kosztowych. Mam na myśli bardzo wysokie ceny energii i opłaty za emisję CO_2, które uiszczają tylko producenci z Unii Europejskiej. To przekłada się na nieograniczony import z krajów spoza Wspólnoty, gdzie opłat z tytułu systemu ETS nie ma, i w konsekwencji – uderza w producentów w UE, choć przestrzegamy wysokich standardów środowiskowych. W ślad za tym musieliśmy podjąć bardzo trudne decyzje. Z końcem listopada 2025 roku Huta Królewska w Chorzowie zakończyła pracę. Chociaż w ostatnich latach podjęliśmy wiele działań, aby utrzymać produkcję w tym zakładzie, kombinacja wspomnianych negatywnych czynników zewnętrznych zniweczyła nasze wysiłki" – zaznaczył w raporcie Wojciech Koszuta, prezes Zarządu i dyrektor generalny ArcelorMittal Poland.

> ***Warunki, w jakich przez ostatnie lata funkcjonuje przemysł, są trudne z powodu obciążeń kosztowyc. Mam na myśli bardzo wysokie ceny energii i opłaty za emisję CO2, które uiszczają tylko producenci z Unii Europejskiej.***
>
> **WOJCIECH KOSZUTA, prezes Zarządu i dyrektor generalny ArcelorMittal Poland**

W dalszej części raportu firma napisała, że z uwagi na wyjątkowo trudne warunki rynkowe latem 2025 roku podjęła też decyzję o tymczasowym wstrzymaniu pracy wielkiego pieca nr 3 w Dąbrowie Górniczej. „Napływ bardzo dużych ilości produktów stalowych po zaniżonych cenach, koszty emisji CO_2 i wysokie ceny energii – to tylko kilka czynników, które zmusiły nas do tego kroku" – wskazał stalowy gigant.

Na koszty zakupu uprawnień do emisji dwutlenku węgla narzeka też polska branża cementowa, która zmaga się z importem tego surowca spoza Unii Europejskiej – głównie z Ukrainy, gdzie system ETS nie obowiązuje. Stowarzyszenie Producentów Cementu podało, że w 2025 roku do Polski trafiło łącznie 1,73 mln ton cementu – głównie spoza Unii Europejskiej – a od 2019 roku import tego surowca z Ukrainy wzrósł o ponad 3800 procent.

– W mojej ocenie import cementu spoza Unii Europejskiej – w tym z Ukrainy – to nierówna i nieuczciwa konkurencja. Tamtejsze zakłady nie ponoszą kosztów polityki klimatycznej. Dostawa surowców strategicznych może być wykorzystywana jako groźna broń – tak jak w przypadku ropy i gazu. Inwestycje, zwłaszcza w sektorze obronnym, nie mogą być zależne od eksporterów z krajów ościennych – ocenia Krzysztof Kieres, przewodniczący Stowarzyszenia Producentów Cementu.

Kryzys przeżywają też polskie firmy produkujące płytki ceramicz-

eprasa.pl 10f1732c5d

ne. W marcu 2025 roku Polska Unia Ceramiczna wystosowała komunikat do mediów, w którym ostrzegała, że „branży płytek ceramicznych grozi fala bankructw i wzrost bezrobocia, jeśli nie nastąpią obniżenie cen energii elektrycznej i gazu oraz ochrona rynku wewnętrznego przed nieuczciwą konkurencją, głównie z Indii". W naszym kraju produkuje się około 130 mln m2 płytek rocznie, co daje nam trzecie miejsce w Unii Europejskiej.

„Nasza działalność gospodarcza stanowi wyjątkowe wyzwanie i dalsze funkcjonowanie «stoi pod znakiem zapytania». Już i tak ograniczona produkcja i redukcja personelu nie gwarantuje nam utrzymania dalszej produkcji wyrobów z powodu wysokich kosztów energii wynikających z cen uprawnień do emisji CO_2 w Unii Europejskiej, które «zabijają konkurencyjność przemysłu», a także braku ochrony rynku wewnętrznego Unii Europejskiej przed nieuczciwą konkurencją importu płytek ceramicznych spoza UE na teren UE w tym do Polski, przede wszystkim z Indii" – alarmowała Polska Unia Ceramiczna, dodając, że z tego powodu koszty wytworzenia płytek ceramicznych w 2024 roku wzrosły o ponad 40 procent w stosunku do 2021 roku.

„Wynika to z faktu, że ceny gazu i energii nadal są bardzo wysokie i istotnie przewyższają ceny z roku 2021. Dodatkowo znacząco wzrosły koszty surowców, transportu, opakowań i wynagrodzeń. Ponadto z uwagi na kryzys w budownictwie oraz wzrost importu tanich produktów z Indii i Turcji niemożliwe jest zrekompensowanie wzrostu kosztów poprzez podniesienie cen wyrobów" – podkreśliła organizacja zrzeszająca największych producentów płytek ceramicznych.

Za politykę klimatyczną Unii Europejskiej płacimy zatem wszyscy w cenach energii i produktów, ale już niebawem zapłacimy za nią także bezpośrednio – kupując węgiel na zimę, by napalić w piecu, czy tankując paliwo na stajach benzynowych. Stanie się to za niecałe dwa lata, gdy w 2028 roku wejdzie w życie system ETS2 obejmujący swoim zasięgiem transport drogowy i budownictwo.

Kosmetyka zamiast prawdziwej reformy

Jak na razie UE nie zamierza jednak zboczyć ze swojej ścieżki wiodącej do neutralności klimatycznej, co pokazała przedstawiona w lipcu przez Komisję Europejską propozycja rewizji dyrektywy w sprawie ETS.

– Propozycja Komisji Europejskiej zawiera potrzebne korekty, ale nie stanowi przełomowej przebudowy EU ETS. Zmienia tempo ograniczania puli uprawnień, rozbudowuje instrumenty finansowe i przedłuża część mechanizmów ochronnych, nie usuwa jednak podstawowego problemu: dziś europejski przemysł nadal ponosi koszty emisji, których w porównywalnej skali nie ponoszą jego globalni konkurenci – oceniła Klaudia Kleps, dyrektor Pionu Rzecznictwa i Legislacji w Polskiej Izbie Przemysłu Chemicznego.

> ***Import cementu spoza Unii Europejskiej – w tym z Ukrainy – to nierówna i nieuczciwa konkurencja. Tamtejsze zakłady nie ponoszą kosztów polityki klimatycznej.***
>
> **KRZYSZTOF KIERES, przewodniczący Stowarzyszenia Producentów Cementu**

Krytycznie o propozycji reformy systemu ETS wypowiedział się także Pałac Prezydencki w uzasadnieniu wniosku o ponowne przeprowadzenie referendum klimatycznego.

„Zamiast realnej, głębokiej reformy odpowiadającej skali problemów, opisanych w dalszej części niniejszego uzasadnienia, Komisja Europejska przedstawiła zestaw technicznych korekt, które nie zmieniają ani kierunku, ani ostatecznego tempa najbardziej kosztownych elementów polityki klimatycznej. Komisja Europejska nie proponuje zasadniczego ograniczenia kosztów systemu, lecz jedynie częściowe przesunięcie ich w czasie" – czytamy w piśmie. „Rewizja ETS nie jest zatem zmianą kierunku, lecz próbą przedstawienia wolniejszego zaostrzania systemu jako jego złagodzenia. [...] W zestawieniu ze stanem dzisiejszym ETS pozostanie systemem coraz droższym, coraz szerszym i coraz bardziej obciążającym polską gospodarkę" – ocenił Pałac Prezydencki.

Skoro Unia Europejska nie jest gotowa na gruntowną reformę systemu ETS, skoro ceny energii i wysokie opłaty za uprawnienia do emisji CO_2 uderzają w polski przemysł, skoro nasza gospodarka oparta na węglu jest w czołówce państw, które najmocniej cierpią z powodu polityki klimatycznej – to chyba najwyższy czas, by polski rząd postawił tę sprawę na ostrzu noża. Ani Polska, ani Europa nie mogą pozwolić na to, by zielona pętla coraz mocniej zaciskała się na szyi ich własnych obywateli, podczas gdy świat stale zwiększa emisje, nie oglądając się na Stary Kontynent.

eprasa.pl 10f1732c5d

Pułapka antytrumpizmu

Relacje ze Stanami Zjednoczonymi mają kluczowe znaczenie nie tylko dla Polski, lecz także dla całego NATO. Obecnie sojusz naszych państw staje jednak przed poważnym wyzwaniem. Jeszcze nigdy Ameryka nie miała tak złej prasy w Polsce, jak obecnie. Czy mamy do czynienia z realnymi rysami na polsko-amerykańskich relacjach? A może jesteśmy obiektem **operacji manipulacyjnej**, której celem jest osłabienie bezpieczeństwa w naszym regionie? I jakie znaczenie ma to, że sojusz z USA kwestionowany jest – znów – w czasie rządów Donalda Tuska?

Stanisław Żaryn



Fot. Ye Pingfan / Zuma Press / Forum

Stany Zjednoczone są od lat najważniejszym strategicznym sojusznikiem RP. Jest to szczególnie oczywiste od wejścia Polski do NATO w 1999 roku. Polska polityka bezpieczeństwa i zagraniczna traktuje relacje z Ameryką jako jeden z ważnych gwarantów stabilności i bezpieczeństwa naszego kraju, ale i całego regionu. Miało to swoje przełożenie na kolejne decyzje o wzmocnieniu tego sojuszu jako odpowiedzi na zmieniającą się sytuację międzynarodową. To z USA Polska zaczęła budowę tarczy antyrakietowej, którą w końcu udało się zwieńczyć sukcesem (z problemami, o czym poniżej), to także USA stały się główną siłą sojuszniczą, która stacjonuje w naszym kraju po ustaleniach Szczytu NATO w Warszawie w 2016 roku. To USA mają w Polsce swoje dowództwa wojskowe, jednostki zdolne do operowania w ramach sojuszniczego wsparcia. To Stany są kluczowym partnerem w polityce energetycznej, który pozwala budować bezpieczny miks energetyczny przez dostawy LNG. To Ameryka jest także partnerem przy budowanej u nas elektrowni atomowej. To Stany są głównym kontrahentem dla MON, który kontynuuje modernizację Wojska Polskiego na podstawie amerykańskich kontraktów na tak ważny sprzęt, jak czołgi Abrams, wyrzutnie Himars, myśliwce F-35 czy śmigłowce Apache. Zarówno nasza polityka, jak i zacieśnianie współpracy z USA są odpowiedzią na rosnący od lat poziom agresji Rosji, która dziś zagraża bezpieczeństwu Europy Środkowo-Wschodniej. Sojusz z USA wchodzi na kolejne szczeble także w odpowiedzi na rosnące zagrożenia.

O roli i znaczeniu współpracy Polski i USA w Polsce nie trzeba było przez lata nikogo przekonywać. Było oczywiste, że mocniejsze współdziałanie z Amerykanami daje Polsce realne gwarancje bezpieczeństwa. I tak to było odbierane także przez naszych wrogów – rosyjska propaganda jeszcze w 2016 roku zidentyfikowała nowy etap współpracy militarnej między RP i USA jako jedno z głównych zagrożeń dla własnych interesów w Europie. Z perspektywy Moskwy sytuacja była oczywista – im więcej Amerykanów w Europie Środkowej, tym mniejsze pole gry dla Rosji i jej interesów. Dlatego od 2016 roku powtarzają się w działaniach rosyjskiego wywiadu próby rozbudzania nieufności i niechęci

eprasa.pl 10f1732c5d

między USA i Polską. Każdy pretekst był dobry, by w ramach wojny informacyjnej pokazywać Polakom, że współpraca z USA jest dla nas groźna, a Polacy na tej współpracy jedynie tracą. Ten typ oddziaływania na Polskę miał niestety przełożenie na niektórych wpływowych uczestników życia politycznego. Wystarczy wspomnieć wywiady obecnego senatora Mirosława Rożańskiego, który opowiadał, że baza amerykańska w Polsce może być zagrożeniem, bo będzie na celowniku rosyjskiej armii. Na szczęście jednak takie osoby i głosy nie przekładały się na główny nurt polityczny, relacje z USA były rozwijane, pozostając solą w oku Kremla. W 2021 roku, na kilka tygodni przed pełnoskalowym atakiem na Ukrainę, Moskwa wysłała do USA ultimatum, w którym wskazała między innymi, że wojna nie wybuchnie, jeśli... NATO wróci do stanu z 1997 roku. Czyli wycofa się z Europy Środkowej, w tym Polski. Takie apele i groźby pojawiały się zresztą wielokrotnie. Moskwa konsekwentnie opisywała kraje wschodniej flanki mianem „rusofobów", „podżegaczy" i „wichrzycieli", insynuowała, że państwa regionu prowadzą do wojny NATO – Rosja, a Sojusz powinien się ich pozbyć, by mieć szanse na „normalizację" relacji z Moskwą. Rosji zależy, by Europa Środkowa była pod wpływem rosyjskiego państwa, do czego potrzebne jest zrezygnowanie z amerykańskiej obecności i interesów w każdym z krajów Europy Środkowej.

POLSKA POLITYKA BEZPIECZEŃSTWA I ZAGRANICZNA TRAKTUJE RELACJE Z AMERYKĄ JAKO JEDEN Z WAŻNYCH GWARANTÓW STABILNOŚCI I BEZPIECZEŃSTWA NASZEGO KRAJU, ALE I CAŁEGO REGIONU.

Rosyjska presja na współpracę militarną Polski i USA wynika z faktu, że relacje polsko-amerykańskie mają znaczenie strategiczne nie tylko dla RP. Dziś to wschodnia flanka Sojuszu uchodzi za kluczowy obszar Paktu, mówi się wprost, że łączący Polskę i Litwę przesmyk suwalski jest jednym z najbardziej krytycznych miejsc w całej wspólnocie transatlantyckiej, a polsko-amerykańska współpraca jest jednym z ważnych czynników bezpieczeństwa w tej lokalizacji. Biorąc to pod uwagę, mocno zaskakuje tak silna i intensywna kampania deprecjonowania USA, z którą mamy do czynienia w Polsce. W ostatnim Raporcie Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego opisujemy działania, które wyglądają jak spójna kampania wpływu na polskie społeczeństwo w celu zmiany percepcji USA. Widać kolejne próby pokazania, że obecne Stany Zjednoczone nie są dla Polski gwarantem pomocy, pokoju i stabilizatorem, ale tworzą problemy, powiększają ryzyko, a nawet mogą generować realne zagrożenia dla naszej państwowości. Media bombardują przekazem, że „prezydent Trump zwariował", że „Stany Zjednoczone są niestabilne", że „Trump to człowiek Putina", że „USA sprzedadzą Polskę". Przekaz jest nasycany absurdalnymi tezami, które mają oddziaływać jednoznacznie na polskiego odbiorcę – podważając współpracę między USA i Polską, ale też budowane od dekad organizacje międzynarodowe. Jedna z głównych sugestii, z jakimi można się spotkać, dotyczy zapowiedzi, że „USA wyjdą z NATO", co będzie oznaczało koniec Sojuszu. Polskie społeczeństwo jest poddawane takim działaniom nie tylko przez nasze media – swoje dokłada tu także wpływowa w całej Europie prasa niemiecka, która powtarza tego typu tezy, licząc na wzmocnienie roli Niemiec w Europie, a także rosyjska propaganda, która – jak wskazano wcześniej – stara się zohydzić Amerykanów Polakom zgodnie ze swoim konkretnym celem państwowym dotyczącym Europy Środkowej. Mamy więc zbieg kilku poważnych działań manipulacyjnych, których cele są tożsame – zachwiać wizerunkiem polsko-amerykańskiej współpracy i wzbudzić wśród Polaków pytania, czy warto dalej stawiać na Waszyngton. Szczegółowo opisujemy to w opracowaniu Fundacji IBN.

ROSJI ZALEŻY, BY EUROPA ŚRODKOWA BYŁA POD WPŁYWEM ROSYJSKIEGO PAŃSTWA, DO CZEGO POTRZEBNE JEST ZREZYGNOWANIE Z AMERYKAŃSKIEJ OBECNOŚCI I INTERESÓW W KAŻDYM Z KRAJÓW EUROPY ŚRODKOWEJ.

eprasa.pl 10f1732c5d

Ataki na sojusz polsko-amerykański trwają mimo tego, że najważniejsi politycy USA mówią, że Polska jest ważnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych oraz że nasza współpraca z Amerykanami będzie pogłębiana. Polska jako kraj wydający dużo na politykę bezpieczeństwa, w tym modernizację armii, od początku obecnej kadencji Trumpa był wymieniany jako żelazny sojusznik, który będzie traktowany w sposób lepszy niż ci, którzy sobie lekceważą własne bezpieczeństwo. Przez miesiące za słowami amerykańskich liderów szło niewiele konkretów, ale ostatnio się pojawiły. Sojusznicy, do czego konieczna była zgoda USA, podjęli wreszcie decyzję o przedłużeniu do Polski ropociągów NATO (projekt CEPS), co oznacza realne wzmocnienie zdolności prowadzenia przez Polskę i w Polsce sojuszniczych operacji lotniczych, a w USA ruszyły rozmowy o stałej bazie wojsk amerykańskich w Polsce. Rozpoczęto również przegląd rozmieszczenia wojsk amerykańskich, co może prowadzić do wzmocnienia obecności w RP. Ale już sama zmiana statusu US Army w naszym kraju będzie miała znaczące przełożenie na lepszą współpracę wojskową oraz potencjał odstraszania na wschodniej flance NATO. Mówi się także o innych projektach, w tym kolejnym wsparciu militarnym czy ofercie ulokowania w Polsce centrum serwisowego. O ile do tej pory można było mieć poczucie pustych zapowiedzi, teraz nareszcie materializują się konkretne pola pogłębiania współpracy. Nie oznacza to jednak wygaszenia antyamerykańskich przekazów. Będą one kontynuowane z uwagi na poważną grę polityczną, która jest prowadzona przeciwko Zachodowi, ale również między sojusznikami. Istnieje bowiem oczywista i nieskrywana niechęć elity politycznej Europy i USA. Obie strony atakują się nawzajem. Obecna administracja amerykańska wprost wskazuje, że europejska elita prowadzi samobójczą politykę, że pasożytuje na USA, że sprowadza na siebie ogromne zagrożenia związane z nielegalną migracją itd. Europa odpowiada krytyką stylu działania USA, oskarżeniami o nieprzewidywalność, granie z Rosją, niszczenie NATO, rozmontowywanie organizacji międzynarodowych i wieloma innymi wątkami. Wydaje się, że USA i kraje Europy Zachodniej pozostaną na kursie kolizyjnym, co będzie miało również wpływ na polską politykę. Istnieje poważne ryzyko, że przez polityczne powiązania rządzących Polska będzie częścią tej – bezsensownej dla interesów RP – antytrumpowskiej bijatyki.

W 2021 ROKU, NA KILKA TYGODNI PRZED PEŁNOSKALOWYM ATAKIEM NA UKRAINĘ, MOSKWA WYSŁAŁA DO USA ULTIMATUM, W KTÓRYM WSKAZAŁA MIĘDZY INNYMI, ŻE WOJNA NIE WYBUCHNIE, JEŚLI... NATO WRÓCI DO STANU Z 1997 ROKU.

Polska od histerii antytrumpowskiej powinna się trzymać z daleka, choć czasem styl działania Amerykanów, ale też niektóre dokumenty strategiczne wydane przez USA, zadania nie ułatwiają. Obecna administracja amerykańska szokuje swoich sojuszników, stawia oczekiwania i żądania, używając języka gróźb i szantażu, stawia kraje partnerskie przed faktami dokonanymi, szachuje, zmienia zdanie, prowadzi operacje militarne i wojny bez konsultacji – rząd Trumpa zachowuje się przynajmniej nonszalancko, co ułatwia rozgrywanie sojuszników i buduje kolejne wizerunkowe rysy. Przykład takich działań mieliśmy w Polsce. Kakofonia informacyjna z USA sprawiła, że wiele osób spodziewało się wręcz wycofania dużej części wojsk amerykańskich z RP. Ostatecznie wiemy, że wojska będzie więcej, ale ten przykład pokazał, że błędy w zarządzaniu komunikacją potrafią otwierać drzwi do szkodliwej propagandy manipulującej obrazem relacji Polska – USA. Wątpliwości budzić mogą także oficjalne dokumenty amerykańskie, które sugerują, że Amerykanie bardziej przejmują się obecnie

POLSKA OD HISTERII ANTYTRUMPOWSKIEJ POWINNA SIĘ TRZYMAĆ Z DALEKA, CHOĆ CZASEM STYL DZIAŁANIA AMERYKANÓW, ALE TEŻ NIEKTÓRE DOKUMENTY STRATEGICZNE WYDANE PRZEZ USA, ZADANIA NIE UŁATWIAJĄ.

eprasa.pl 10f1732c5d

zagrożeniami z Chin niż z Rosji. Na tym również bazuje wiele przekazów sugerujących, że „USA sprzedadzą Polskę". To oderwane od realiów twierdzenia, ale niektóre działania Amerykanów ułatwiają ich kolportowanie.

Po odcięciu propagandowych tez i nonszalancko prowadzonej komunikacji okaże się jednak, że na dziś relacje polsko-amerykańskie mają przed sobą spory potencjał rozwoju. Zdaniem byłego attaché wojskowego USA płk. Raya Wójcika jest na to bardzo duża szansa. W czasie debaty Fundacji IBN oraz Muzeum Zimnej Wojny dotyczącej relacji Polski i Stanów Wójcik wprost wskazał, że nasze kraje mają szansę na pogłębienie relacji. Polska musi o to zawalczyć. Szczególnie że do dziś Stany Zjednoczone są jedynym sojusznikiem, którego realnie obawia się Rosja. Sekretarz generalny NATO Mark Rutte powiedział nie tak dawno europejskim liderom wprost: „jeśli ktoś w Europie myśli o obronie przed Rosją bez udziału Ameryki, to niech marzy dalej...". Europa dziś nie liczy się w globalnej grze, nie ma zdolności samodzielnej obrony przed Rosją, żaden europejski kraj nie jest w stanie trzymać Rosji w ryzach. Potencjał taki mają USA, sięgające w ostatnim czasie wielokrotnie po argumenty siły (Wenezuela, Kuba, Iran). One są więc tym ważniejszym sojusznikiem w dobie realnego zagrożenia militarnego. Powinniśmy budować bilateralne powiązania z USA, nie oglądając się na polityczne emocje między niektórymi sojusznikami. Jeśli Polska ma być bezpieczna, nasz sojusz z USA musi się rozwijać.

Ataki na USA mogą tę szansę zniweczyć, ale, co gorsza, mieć dalekosiężne skutki. Dziś emocje budzi prezydentura Donalda Trumpa, dając wielu pretekst do kampanii insynuacji i manipulacji. Jeśli jednak uda się zmienić postrzeganie Amerykanów w Polsce, to ta zmiana zostanie z nami na dłużej niż Donald Trump. On zakończy kadencję, a niechęć wobec Stanów będzie dalej wpływała na relacje międzypaństwowe. Dlatego tak niepokoi, że omawianą kampanię swoimi działaniami wzmacnia premier Donald Tusk, który nie tylko nie wygasza negatywnych emocji, ale je napędza. Jeszcze przed wyborami z 2023 roku Tusk wielokrotnie oskarżał Donalda Trumpa o kontakty z rosyjskimi służbami, insynuował, że był on agentem, że realizuje rosyjskie interesy. A już jako premier sztorcował amerykańskich polityków, jeździł po świecie i przepraszał, że „ma na imię Donald", sugerował, że afera pedofila Jeffreya Epsteina obciąża Trumpa. Premier Tusk konsekwentnie i cyklicznie wysyłał do polskiej opinii publicznej sygnały podważające relacje z USA, do Amerykanów zaś nieprzyjazne gesty polityczne. Dodatkowo przekonywał, że Europa nie potrzebuje Stanów Zjednoczonych, by bronić się przed rosyjskimi zagrożeniami. Stanowisko polskiego premiera wobec USA jest sprzeczne z interesami Polski i napędza niebezpieczną dla nas operację osłabiania wizerunku Ameryki w Polsce. Niestety, można mieć wrażenie, że powtarza się polityka rządu PO – PSL, kiedy to Donald Tusk najpierw ogłosił, że Polska rezygnuje z tarczy antyrakietowej budowanej wspólnie z USA, a potem rozpoczął reset z Moskwą. Dziś premier, który był pionierem resetu, jest pionierem obrzucania USA inwektywami. Prowadzi to do analogicznych skutków – realnego osłabienia naszego bezpieczeństwa – i nakazuje stawiać pytania, dlaczego kolejny rząd Tuska osłabia strategiczne partnerstwo Polski ze Stanami Zjednoczonymi? Tym razem sytuacja jest wręcz bardziej niepokojąca – jeśli uda się zmienić ocenę opinii publicznej, Polacy sami zaczną oczekiwać i żądać wygaszenia sojuszu z USA. Obecne manipulacje wokół relacji z Ameryką mogą więc okazać się dla Polski śmiertelną pułapką.

DZIŚ EMOCJE BUDZI PREZYDENTURA DONALDA TRUMPA, DAJĄC WIELU PRETEKST DO KAMPANII INSYNUACJI I MANIPULACJI.

DLACZEGO KOLEJNY RZĄD TUSKA OSŁABIA STRATEGICZNE PARTNERSTWO POLSKI ZE STANAMI ZJEDNOCZONYMI? TYM RAZEM SYTUACJA JEST WRĘCZ BARDZIEJ NIEPOKOJĄCA.

eprasa.pl 10f1732c5d

Powracamy po swoich. „Rój” odnaleziony

24 lipca br. Instytut Pamięci Narodowej ogłosił odnalezienie doczesnych szczątków jednego z najsłynniejszych żołnierzy antykomunistycznego podziemia niepodległościowego – Mieczysława Dziemieszkiewicza ps. „Rój”.

Agnieszka Żurek



Fot. Wikimedia Commons

Panie Komendancie, witamy wśród swoich – powiedział podczas konferencji w Centralnym Przystanku Historia im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Warszawie zastępca prezesa IPN dr hab. Karol Polejowski.

Odzyskać zdrowe korzenie

Konferencje IPN-u, podczas których do publicznej wiadomości są podawane nazwiska kolejnych zidentyfikowanych Żołnierzy Wyklętych, to nie tylko momenty, kiedy naprawdę czuć, że na naszych oczach dzieje się historia, ale także – a może przede wszystkim – chwile łapiącego za gardło wzruszenia.

Dlaczego tak jest? Dlaczego to takie ważne? Podstawowy wymiar poszukiwań miejsc pochówków polskich bohaterów to wypełnienie chrześcijańskiego uczynku miłosierdzia: zmarłych pochować. Dla rodzin ofiar komunistycznych zbrodni często przez lata prześladowanych, szykanowanych i oczernianych, to przede wszystkim moment, kiedy nareszcie mogą przeżyć żałobę, pochować z szacunkiem swoich krewnych, ale także chwila, kiedy w symboliczny sposób państwo polskie zdejmuje z nich odium, z którym żyli przez dziesięciolecia. Nie ma niestety możliwości zadośćuczynienia wszystkim krzywdom, jakich doznali, ale momenty, kiedy przedstawiciele oficjalnych władz państwowych jasno mówią, kto w toczonej przez ich przodków walce był bohaterem, a kto zdrajcą, są dla rodzin poległych bezcenne.

Tym, co wzrusza podczas ogłaszania kolejnych nazwisk zidentyfikowanych bohaterów, jest także bezinteresowność tego – niełatwego przecież i na większości etapów żmudnego i zupełnie niemedialnego – działania. W czasach, kiedy tak wiele dziedzin ludzkiego życia jest przeliczanych na rozmaite matematyczne wskaźniki i kiedy miara wartości podejmowanych przedsięwzięć ma często wymiar wyłącznie materialny, działanie podejmowane z myślą o bezbronnych i często już zapomnianych rodakach budzi szacunek. Ze szczególną wdzięcznością myślę tu o pracy prof. Krzysztofa Szwagrzyka, który rozpoczynał ją długo, „zanim to było modne”, w latach 90., w czasach, kiedy większość ludzi myślała raczej o tym, jak „dorobić się” na wkraczającym do Polski kapitalizmie, niż o tym, aby nadal użerać się z komuną, postkomuną i biurokracją. W latach 90. nikt nie nosił koszulek z wizerunkami Wyklętych, mało kto o nich w ogóle słyszał, nie było IPN-u, o podziemiu antykomunistycznym nie mówili najważniejsi przedstawiciele władz państwowych. Profesor Szwagrzyk pracował wówczas jako... nauczyciel wychowania fizycznego. – Pisałem pracę doktorską jeszcze jako nauczyciel WF-u o VI Brygadzie Wileńskiej AK, a jeszcze wcześniej o podziemiu antykomunistycznym na Dolnym Śląsku. Te prace badawcze na Podlasiu i Dolnym Śląsku, te ludzkie tragedie, losy zawładnęły mną zupełnie. To jest temat, który chcę badać. Jestem szczęśliwym człowiekiem, robię to, co kocham. Dziękuję losowi. To powoduje, że nie mam czasu w pracy na nudę, nie narzekam, że jest mi ciężko. Zżymam się oczywiście na utrudnienia i obciążenia biurokra-

eprasa.pl 10f1732c5d

tyczne, nie musi być ich taki ogrom. To, co zacząłem w latach 90., kontynuuję teraz, wierzę, że nadal będę mógł to robić. Chciałbym więcej czasu poświęcić na pisanie, niestety na razie go brak. Kiedy trzeba wybierać, zawsze wybiorę pracę, wyjazdy, badania, ekshumacje czy poszukiwania – mówił w rozmowie z Teresą Marchwicką-Grabowską, wiceprezes Stowarzyszenia Historycznego Mazowsza Północnego. Wiceprezes IPN-u wskazywał, że komuniści znęcali się nad żołnierzami podziemia niepodległościowego także po ich śmierci. – Byli pohańbieni, poćwiartowani, pokaleczeni, porozrzucani, zabetonowani. Komuniści pokazywali w ten sposób swój triumf – wskazywał.

Nie zostawia się swoich za liną wroga

„Chcieli nas zakopać, nie wiedzieli, że jesteśmy ziarnem" – głosi motto wielu akcji upamiętniających Wyklętych zaczerpnięte z wiersza greckiego poety Dinosa Christianopoulosa. Oddaje ono istotę sprawy – wysiłek włożony przez komunistów w znęcanie się nad żołnierzami podziemia niepodległościowego unaocznił skalę ich bohaterstwa i poświecenia, a działania mające na celu zniszczenie pamięci o nich zaowocowały po latach determinacją tych, którzy zapragnęli ich odszukać. Instytut Pamięci Narodowej prowadzi prace ekshumacyjne pod hasłem: „Powracamy po swoich". To nawiązanie do poruszającego etosu walki mówiącego o tym, że nie zostawia się swoich za linią wroga. „Linie wroga" przebiegają dziś rozmaicie, nie zawsze odzwierciedlając podziały narodowe, państwowe, społeczne czy światopoglądowe. Błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko wskazywał, że prawdziwym polem walki jest serce każdego człowieka, w którym dokonują się codzienne decyzje, czy opowie się on za dobrem, czy za złem. W czasach, kiedy tyle spraw dzieje się w przestrzeni wirtualnej i kiedy poczucie tego, co jest realne, a co dzieje się w sferze iluzji, konkret poszukiwania w dołach śmierci kości ludzi, znanych z imienia i nazwiska i zasługujących na godny pochówek, staje się bardzo potrzebnym punktem zakorzenienia naszej wspólnoty we wspólnej rzeczywistości i odwołaniem do konkretnego systemu wartości. To także symbol ciągłości państwa polskiego, które czyniąc wysiłki na rzecz odnalezienia i ponownego włączenia do narodowej wspólnoty bohaterów podziemia antykomunistycznego, uzdrawia stopniowo swoją tożsamość i odnajduje zdrowe korzenie.

– Nie ukrywam wzruszenia, bo przecież w ten sposób spełniamy obowiązek powierzony nam decyzją ustawodawcy i znajdujący się w Ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej. Przede wszystkim jednak realizujemy bardzo potrzebny element, jakim jest oddawanie rodzinom szczątków tych, którzy przez dziesięciolecia leżeli w bezimiennych dołach śmierci – mówił podczas konferencji informującej o odnalezieniu „Roja" dr hab. Karol Polejowski. – Po raz kolejny możemy powiedzieć, że władze komunistyczne nie zwyciężyły. Zwyciężają bohaterowie. My, nawet w najbardziej skomplikowanych sytuacjach, musimy dochodzić do prawdy. Odnajdujemy tych, po których nie miał pozostać żaden ślad. Przywracamy im imiona i nazwiska – wtórował mu prof. Krzysztof Szwagrzyk.

> ***Odnajdujemy tych, po których nie miał pozostać żaden ślad. Przywracamy im imiona i nazwiska.***
>
> **PROF. KRZYSZTOF SZWAGRZYK**

Mieczysław Dziemieszkiewicz ps. „Rój" był działającym na Mazowszu żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, dowódcą jednego z najdłużej walczących z komunistami oddziałów podziemia niepodległościowego. W 1947 roku, po ogłoszeniu przez władze komunistyczne „amnestii" dla działaczy polskiego podziemia niepodległościowego, „Rój" zdecydował się pozostać w konspiracji. Brał udział w wielu akcjach przeciwko funkcjonariuszom UB i MO oraz komunistycznej agenturze. Do najsłynniejszych z nich należą rozbrojenie posterunków MO w Czernicach Borowych, Barańcach i Gąsocinie. Został wydany przez dawną towarzyszkę broni zaszantażowaną przez komunistów obietnicą wypuszczenia ze stalinowskiego więzienia jej rodziców. W obławie na „Roja" brało udział kilkuset funkcjonariuszy bezpieki. Poległ w nocy z 13 na 14 kwietnia 1951 r. w Szyszkach w powiecie pułtuskim. Jego ciało zostało wrzucone do bezimiennego dołu śmierci na warszawskiej Kwaterze „Ł". Za zasługi w walce z tworzącymi się strukturami reżimu komunistycznego w Polsce odznaczony został Krzyżem Walecznych. Został pośmiertnie awansowany do stopnia porucznika przez prezydenta RP Andrzeja Dudę. Po latach okazało się, że ciało „Roja" spoczywało tuż obok innego wielkiego bohatera podziemia antykomunistycznego – słynnego majora Zygmunta Szendzielarza ps. „Łupaszko". Wiadomość o zidentyfikowaniu doczesnych szczątków Mirosława Dziemieszkiewicza ps. „Rój" została podana do publicznej wiadomości 24 lipca br. Prace IPN-u prowadzone w ramach akcji „Powracamy po swoich" trwają.

eprasa.pl 10f1732c5d

WSPOMNIENIE

Solidarność żegna Zdzisława Maszkiewicza



Fot. T. Gutry

W wieku 75 lat odszedł do wieczności Zdzisław Maszkiewicz – były senator z listy AWS, od początku związany z Solidarnością. Przez ponad trzy dekady stał na czele Zarządu Regionu Ziemi Radomskiej NSZZ „Solidarność”.

Marcin Krzeszowiec

Zdzisław Maszkiewicz urodził się 28 listopada 1950 roku w Garwolinie, gdzie ukończył liceum ogólnokształcące. Swoją edukację kontynuował w Pomaturalnym Studium Zawodowym w Dęblinie, gdzie znalazł potem zatrudnienie w Lotniczych Zakładach Remontowych nr 3. Później pracował w Zakładach Tworzyw Sztucznych Pronit, następnie w Zakładzie Doświadczalnym Chemimetal w Pionkach oraz w Biurze Pracy w Radomiu.

Do Solidarności wstąpił we wrześniu 1980 roku, współtworzył struktury Związku w Polcorfamie (zakład Pronitu). Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego pomagał osobom represjonowanym i pracował jako korespondent podziemnego pisma „Baryka”. W związku ze swoją działalnością był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany przez SB czy milicję oraz poddawany rewizjom w domu i pracy.

W 1989 roku Zdzisław Maszkiewicz współtworzył Komitet Obywatelski NSZZ „Solidarność” w Pionkach i został przewodniczącym tamtejszego TKK „S”. Trzy lata później powierzono mu funkcję najpierw wiceprzewodniczącego, a od 1995 roku przewodniczącego Zarządu Regionu Ziemia Radomska NSZZ „Solidarność”. Na czele radomskich struktur Solidarności Maszkiewicz stał przez ponad trzy dekady.

Od 1996 roku działał także w Akcji Katolickiej. Rok później został senatorem IV kadencji z listy Akcji Wyborczej Solidarność. W izbie wyższej był członkiem senackich komisji Rodziny i Polityki Społecznej, Komisji Zdrowia, Kultury Fizycznej i Sportu. W 2002 roku został także członkiem Wojewódzkiej Komisji Dialogu Społecznego na Mazowszu.

Zdzisław Maszkiewicz zmarł w niedzielę, 26 lipca, w wieku 75 lat. Jego pogrzeb odbył się 30 lipca w Kościele pw. Najświętszej Maryi Panny w Pionkach.

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.

eprasa.pl 10f1732c5d

XXXV FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU

Sojusz Przemysłowy nad Wełtawą i Wisłą

Nadchodzące XXXV Forum Ekonomiczne w Karpaczu stanie się przestrzenią strategicznej debaty o przyszłości naszej części kontynentu. Jednym z najważniejszych punktów wydarzenia będzie Forum Polska – Czechy, czyli ścieżka tematyczna skoncentrowana na relacjach dwustronnych oraz kluczowych wyzwaniach gospodarczych w regionie.

Konrad Wernicki



Fot. www.forum-ekonomiczne.pl

Były prezydent i premier Republiki Czeskiej Václav Klaus

W CENTRUM DYSKUSJI ZNAJDĄ SIĘ KWESTIE sprawiedliwej transformacji energetycznej, budowania sojuszu opartego na energetyce jądrowej, odnawialnych źródłach energii i bezpieczeństwie dostaw, a także relacji obu państw w obliczu globalnych przesunięć gospodarczych. Istotny wątek stanowić będzie również przyszłość transportu, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju infrastruktury transgranicznej oraz kolei dużych prędkości.

Największe forum w tej części Europy

Ranga wydarzenia znajduje odzwierciedlenie w liście potwierdzonych gości, wśród których znaleźli się wybitni przedstawiciele czeskiego świata polityki, dyplomacji i gospodarki. W panelach wezmą udział: były prezydent i premier Republiki Czeskiej Václav Klaus z Instytutu Václava Klausa, były premier Mirek Topolánek reprezentujący Institut pro pravicovou politiku oraz były wicepremier i szef resortów spraw wewnętrznych, zagranicznych i rozwoju regionalnego Cyril Svoboda, obecny dyrektor Akademii Dyplomatycznej. Grono prelegentów uzupełnią: były minister przemysłu, handlu i rolnictwa Jan Mládek, który kieruje Czeskim Instytutem Ekonomii Stosowanej, wiceminister przemysłu i handlu Jan Sechter oraz Radek Čech, dyrektor z czeskiego Zarządu Infrastruktury Kolejowej Správa železnic.

Uczestnicy ścieżki polsko-czeskiej dołączą do grona ponad sześciu tysięcy gości z państw Europy Środkowej i Wschodniej, reprezentujących administrację państwową i samorządową, sektor biznesowy, naukę, kulturę, media oraz trzeci sektor.

Solidarność w Karpaczu

Z perspektywy Fundacji Promocji Solidarności, która jest partnerem Forum Ekonomicznego, podejmowana w Karpaczu tematyka jest szczególnie istotna w kontekście wyzwań dla polskiej gospodarki oraz ochrony miejsc pracy. Rozwój stabilnych źródeł energii, w tym atomu, wraz z konsekwentną rozbudową połączeń infrastrukturalnych stanowią filary suwerenności przemysłowej i bezpieczeństwa socjalnego mieszkańców naszego regionu.

Fundacja Promocji Solidarności będzie brała czynny udział w debatach i konferencjach podczas Forum, by wnieść perspektywę pracowniczą do najważniejszych debat gospodarczych w kraju, stając się głosem pracowników oraz reprezentując postulaty NSZZ „Solidarność".

Więcej informacji o Forum na oficjalnej stronie: www.forum-ekonomiczne.pl.

eprasa.pl 10f1732c5d

Mały atom – ŚLISKA SPRAWA

CZYLI O SMR JAKO SYSTEMOWYM MAMIENIU RODAKÓW

Jesteśmy bombardowani informacjami o tym, że Polska miałaby się stać **liderem na globalnej mapie projektów SMR**. Sprytnie skonstruowane ziarno tej wizji paść ma na żyzny grunt ambicji rozwojowych Polaków. Nie dajmy się oszukać: we wszystkich państwach zachodniego świata razem wziętych na ten temat zapadła decyzja o budowie jednego reaktora SMR o mocy do 300 MW. Podejmowanie decyzji o budowie większej ilości – zanim ten pierwszy zostanie wybudowany i uruchomiony – byłoby skrajną naiwnością.

Szczepan Ruman



Elektrownia z małymi modułowymi reaktorami jądrowymi (SMR), projekt ilustracyjny

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 10f1732c5d

W czwartek, 16 lipca, odbyło się kolejne kuriozalne wydarzenie w pełnej dziwnych zwrotów historii rozwoju SMR w Polsce: sejmowa Komisja Ochrony Środowiska większością 22 z 36 głosujących posłów udzieliła prezydentowi Stalowej Woli zgody na bezprzetargową sprzedaż prawie 300 ha gruntów pod projekt SMR. Zgoda dotyczy jednej lub obu działek o powierzchni 101 ha i 166 ha na terenie planowanego Strategicznego Parku Przemysłowego. W trakcie dyskusji posłowie i przedstawiciele Ministerstwa Energii wskazywali, że sprzedaż na tym etapie nie jest ani potrzebna, ani uzasadniona, bo po pierwsze wszystkie badania środowiskowe dla tej lokalizacji można przeprowadzić przed jej zakupem, a po drugie w ogóle nie wiadomo, czy kiedykolwiek udzielona zostanie zgoda odpowiednich organów i uzyskane finansowanie na inwestycję jądrową w tym miejscu. Jednak pomimo tego ryzyka znalazła się większość posłów gotowych głosować „za" (posłowe PiS, PSL, Konfederacji oraz Korony). Na ten moment nie wiadomo nawet, czy potrzebna będzie jedna działka, czy obie, czy może żadna z nich – ale zgoda administracji państwowej już jest. To kolejna taka sytuacja w polskiej historii SMR.

SEJMOWA KOMISJA OCHRONY ŚRODOWISKA WIĘKSZOŚCIĄ 22 Z 36 GŁOSUJĄCYCH POSŁÓW UDZIELIŁA PREZYDENTOWI STALOWEJ WOLI ZGODY NA BEZPRZETARGOWĄ SPRZEDAŻ PRAWIE 300 HA GRUNTÓW POD PROJEKT SMR.

Energetyka jądrowa to dziedzina niesłychanie skomplikowana, pełna drobnych subtelności o bardzo doniosłych konsekwencjach. Część z nich dotyczy tego, co to znaczy „pozwolenie na budowę" lub „zatwierdzenie technologii". Jedno pozwolenie drugiemu nierówne, a niezrozumienie istoty sprawy może mieć konsekwencje liczone w miliardach euro. Część naszych polityków lub urzędników państwowych funkcjonuje zgodnie z zasadą, że jeśli czegoś nie da się opisać na połowie kartki A4, to znaczy, że nie warto się tym zajmować. Mogą oni zakończyć czytanie w tym miejscu: w energetyce jądrowej takie podejście nie sprawdza się i może być bardzo kosztowne w skutkach.

ROZPOCZĘTA W 2005 ROKU BUDOWA W OLKILUOTO MIAŁA KOSZTOWAĆ 3 MILIARDY EURO, ALE PO WSZYSTKICH OPÓŹNIENIACH I POPRAWKACH KOSZTOWAŁA 11 MILIARDÓW EURO.

Dla tych, którzy chcą zrozumieć głębiej: są dwa główne sposoby podejścia do inwestycji jądrowych. Podejście tradycyjne to takie, w którym najpierw pieczołowicie i bardzo szczegółowo zatwierdza się nową technologię, bez wskazania jakiejkolwiek lokalizacji budowy. Taka głęboka analiza technologii na papierze służy zminimalizowaniu zmian i poprawek po „wylaniu betonu", bo wtedy są one wielokrotnie bardziej kosztowne, niż kiedy robi się je na dokumentach, przed zatwierdzeniem technologii. To podejście ma dodatkową zaletę: szczegółowo zatwierdzoną technologię można wykorzystać dla wielu lokalizacji.

Polski nadzór jądrowy – Państwowa Agencja Atomistyki (PAA) – nie ma doświadczenia, aby rzetelnie ocenić nową technologię jądrową. Musi skorzystać z pomocy bardziej doświadczonej agencji: amerykańskiej, francuskiej czy brytyjskiej. Technologia AP1000, na której opierać się będzie elektrownia w Choczewie, jest szczegółowo zatwierdzona w USA, gdzie funkcjonują 2 jednostki, a także w Wielkiej Brytanii. Chińczycy zaczęli ją zaś u siebie budować już seryjnie: oprócz 4 funkcjonujących reaktorów mają też 12 w budowie. PAA może więc oprzeć się na pełnej amerykańskiej i brytyjskiej dokumentacji,

eprasa.pl 10f1732c5d

wiedząc jednocześnie, że technologia ta pozwala na seryjną budowę wielu jednostek, co pokazali Chińczycy.

Przeciwnie do AP1000 GE-Hitachi (GEH), producent reaktora SMR o nazwie BWRX-300, nigdzie na świecie nawet nie wystąpił o takie pełne zatwierdzenie technologii. Państwa bardzo doświadczone na polu energetyki jądrowej, mając do czynienia z technologią, która nie decyduje się na szczegółowe zatwierdzenie projektu reaktora – mogą zezwolić na budowę jednej jednostki w konkretnej lokalizacji. Taka zgoda nie może służyć do budowy drugiej jednostki w innej lokalizacji, nawet w tym samym kraju. Na tym właśnie polega drugi, alternatywny sposób podejścia do inwestycji jądrowych: to rozpoczęcie budowy na dużo bardziej ogólnej zgodzie ograniczonej do konkretnej lokalizacji i „dorabianie" dokumentacji w trakcie budowy. Wybierając tę ścieżkę, kompleksowa i szczegółowa analiza przeprowadzona jest w trakcie budowy i po wybudowaniu, ale przed wydaniem zgody na uruchomienie. Proces ten wymaga jednak ogromnego doświadczenia osoby nadzorującej budowę.

Taka ścieżka wybrana została przy budowie najnowszych dużych reaktorów w Europie, w fińskim Olkiluoto i francuskim Flamanville. Także w ten właśnie sposób budowany jest BWRX-300 w Kanadzie. W Olkiluoto i Flamanville takie podejście doprowadziło do 12 lat opóźnień w budowie w każdej z lokalizacji. Rozpoczęta w 2005 roku budowa w Olkiluoto miała kosztować 3 miliardy euro, ale po wszystkich opóźnieniach i poprawkach kosztowała 11 miliardów euro. Francuski inwestor zapowiadał, że wybuduje reaktor w 5 lat, finalnie reaktor został podłączony do sieci po 18 latach od rozpoczęcia budowy. Dla BWRX-300 takie opóźnienie oznaczałoby uruchomienie pierwszego reaktora w Kanadzie w 2044 roku.

FRANCUSKI INWESTOR ZAPOWIADAŁ, ŻE WYBUDUJE REAKTOR W 5 LAT, FINALNIE REAKTOR ZOSTAŁ PODŁĄCZONY DO SIECI PO 18 LATACH OD ROZPOCZĘCIA BUDOWY.

Idąc takim alternatywnym trybem, nie powinno się rozpoczynać kolejnej budowy, póki pierwsza nie wprowadzi wszystkich poprawek, nie zostanie ukończona i nie uzyska finalnej akceptacji nadzoru jądrowego. Boleśnie przekonali się o tym Francuzi: nie zaczekali na lekcje płynące z budowy w Olkiluoto i w 2007 roku rozpoczęli równoległą budowę drugiego reaktora we Flamanville. Stała się ona finansowym koszmarem, zakończonym po 18 latach z rachunkiem na 23,7 miliarda euro. O tysiącach niesłychanie kosztownych poprawek wykonanych już elementów na tych budowach powstały aż legendy powszechne w całym świecie jądrowym.

A jednak w Polsce mówiło się już najpierw o 79 reaktorach SMR w 26 lokalizacjach (Daniel Obajtek na konferencji prasowej z premierem Mateuszem Morawieckim), a potem o 24 reaktorach w 6 lokalizacjach (po wydaniu decyzji zasadniczych pomimo negatywnych opinii ABW). Teraz przedstawiciele spółki promującej tę technologię zapowiadają, że będą oczekiwali rządowych gwarancji z kieszeni podatników dla 14 reaktorów, w postaci kontraktów różnicowych na setki miliardów złotych (o szkodliwości instrumentu, którym są kontrakty różnicowe, pisałem w nr. 29/2026 „TS"). Zwolennicy reaktorów BWRX-300, między innymi były prezes Polskiej Agencji Atomistyki i wiceprezes spółki Polskie Elektrownie Jądrowe Łukasz Młynarkiewicz oraz obecna doradczyni prezydenta Wanda Buk, w niedawnym raporcie „Horyzont Atomowy" postulują też „uproszczone" wydawanie pozwoleń na budowę.

W POLSCE MÓWIŁO SIĘ JUŻ NAJPIERW O 79 REAKTORACH SMR W 26 LOKALIZACJACH, A POTEM O 24 REAKTORACH W 6 LOKALIZACJACH.

To zachęta do hazardu na koszt Skarbu Państwa: jeśli państwowy Orlen rozpocznie budowę SMR w Polsce z gwarancjami z kieszeni

eprasa.pl 10f1732c5d

podatników, zanim pierwszy reaktor w Kanadzie zostanie wybudowany i dopuszczony do użytku, to kto poniesie koszty ewentualnych zmian i opóźnień? PAA nie dopuści BWRX-300 do użytkowania, zanim nie zrobi tego bardziej doświadczony nadzór w Kanadzie. Jeśli zgoda Kanadyjczyków opóźni się o kilka lat – co w inwestycji jądrowej na Zachodzie prowadzonej tą alternatywną ścieżką jest bardzo prawdopodobne – to budowy w Polsce również będą stały w miejscu i czekały na zgodę bardziej doświadczonego regulatora. Jeśli Kanadyjczycy zażądają u siebie kosztownych zmian i uzupełnień – te same zmiany i uzupełnienia będą musiały zostać zrobione w Polsce, w częściowo wybudowanych już elektrowniach. Były prezes PAA i obecna doradczyni prezydenta powinni te zagadnienia rozumieć.

W krajach macierzystych dla oferenta tej technologii – w USA i Japonii – nie ma na ten moment zgody na wybudowanie choćby jednej sztuki. W Japonii w ogóle nie planuje się budowy reaktorów BWRX-300. Czy to nie zastanawiające? W USA w ostatnim roku jeden podmiot złożył wstępną aplikację o zgodę na wybudowanie jednej sztuki reaktora, ale także bez standardowej analizy i zatwierdzenia samej technologii, czyli również ścieżką alternatywną znaną z Olkiluoto. Ten wstępny wniosek jest obecnie analizowany. Także w Wielkiej Brytanii spółka GEH wystąpiła do tamtejszego nadzoru jądrowego jedynie o bardzo ogólną ocenę technologii. Do kluczowego etapu szczegółowej oceny i zatwierdzenia projektu reaktora, która stanowi tzw. trzeci etap oceny – spółka GEH w ogóle nie przystąpiła.

WIĘKSZOŚĆ ANALIZ WSKAZUJE OBECNIE, ŻE SMR BĘDĄ O CO NAJMNIEJ KILKADZIESIĄT PROCENT DROŻSZE OD TRADYCYJNYCH DUŻYCH REAKTORÓW, TAKICH JAK AP1000, JEŚLI CHODZI O KOSZT WYPRODUKOWANIA JEDNEGO MEGAWATA MOCY.

JEŚLI PAŃSTWOWY ORLEN ROZPOCZNIE BUDOWĘ SMR W POLSCE Z GWARANCJAMI Z KIESZENI PODATNIKÓW, ZANIM PIERWSZY REAKTOR W KANADZIE ZOSTANIE WYBUDOWANY I DOPUSZCZONY DO UŻYTKU, TO KTO PONIESIE KOSZTY EWENTUALNYCH ZMIAN I OPÓŹNIEŃ?

Polska może być w energetyce SMR pierwsza przed USA, Japonią czy Francją nie dlatego, że jako kraj, który nigdy nie miał energetyki jądrowej, nagle swoim sprytem wyprzedziliśmy tamte atomowe potęgi. Możemy być pierwsi dlatego, że w tamtych krajach na SMR, na razie nie ma chętnych. Trzeba pamiętać, że oprócz opisanych tu wyzwań technologiczno-regulacyjnych jest jeszcze strona ekonomiczna. Większość analiz wskazuje obecnie, że SMR będą o co najmniej kilkadziesiąt procent droższe od tradycyjnych dużych reaktorów, takich jak AP1000, jeśli chodzi o koszt wyprodukowania jednego megawata mocy. Inwestorzy w Kanadzie mogą więc zamknąć projekt nawet po szczęśliwym wybudowaniu jednego reaktora bez większych opóźnień – po prostu ze względu na jego nieopłacalność ekonomiczną.

Jesteśmy namawiani, aby w ciemno zamówić 14 reaktorów SMR, podczas gdy cała reszta świata zamówiła na razie jedną sztukę. Doświadczeni międzynarodowi inwestorzy rozumieją zarówno wyzwania technologiczne, jak i ekonomiczne stojące przed technologiami SMR. Dlatego po latach globalnej promocji SMR – na ten moment rozpoczęto budowę tylko jednego reaktora, który po wybudowaniu ma być rygorystycznie oceniony zarówno pod kątem bezpieczeństwa, jak i opłacalności finansowej. Powinniśmy baczenie obserwować tych, którzy w energetyce jądrowej znają się na rzeczy, abyśmy zamiast doświadczonym inwestorem nie stali się królikiem doświadczalnym.

eprasa.pl 10f1732c5d

Flamingi idą PO GODNOŚĆ

Albania jeszcze nie tak dawno pozostawała **wielką niewiadomą**. Chociaż do Jugosławii kraj nie należał, a wręcz kilkadziesiąt lat temu albański dyktator Enwer Hodża uważał Broza-Tito za śmiertelnego wroga, wrzuciliśmy go w naszej świadomości do wspólnego bałkańskiego – nomen omen – kotła. Obecnie Albania coraz częściej gości na pierwszych stronach, zwłaszcza folderów biur podróży, gdyż lokalna Riwiera stała się popularnym, nieco tańszym od tureckich kuzynów, słonecznym kurortem.

Hanna Szymerska



Uczestnicy demonstracji przeciwko rządowi; protesty te są następstwem wielotygodniowych wystąpień przeciwko planowanej budowie luksusowego kurortu na cennym przyrodniczo odcinku wybrzeża Adriatyku – inwestycji wspieranej przez firmę powiązaną z Jaredem Kushnerem, zięciem prezydenta USA Donalda Trumpa

Fot. **Florion** Goga / Reuters / Forum

eprasa.pl 10f1732c5d

Może nam się zdawać, że w erze wakacyjnego boomu wszystko w Albanii idzie ku lepszemu. Każdy kij ma jednak dwa końce, a masowa turystyka nie niesie jedynie pozytywnych konsekwencji, zwłaszcza mając na uwadze doświadczenia obywateli i albańską klasę polityczną.

Albański Stalin i jego dziedzictwo

Chociaż sami byliśmy świadkami upadku systemu postkomunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej, nie sposób opisać współczesnej Albanii bez pominięcia dekad dyktatury „albańskiego Stalina", Enwera Hodży. Po II wojnie światowej i odsunięciu króla Zoga I wraz z jego zwolennikami władzę w kraju przejęli komuniści, dla których liberalizujący się za Chruszczowa Związek Radziecki był za mało radykalny. Albania Enwera Hodży, syna muzułmańskiej rodziny wykształconego we Francji, skręciła w stronę autarkii, nawiązując współpracę z Chinami Mao Zedonga, za największego wroga stawiając sobie Zachód, „zdrajcę ideałów" Broza-Tito oraz wewnętrzne siły reakcyjne. Do tych ostatnich wliczali się ci, którzy próbowali uciec, ci, którzy mieli „złe pochodzenie", i ci, którzy wierzyli – Albania jeszcze w latach 70. prowadziła prześladowania chrześcijan, używając metod znanych nam z czasów Nerona, oskarżając przy tym duchownych o „szpiegostwo na rzecz Watykanu". Terror zwany porządkiem implementowali nie tylko profesjonalni mundurowi, lecz również tajna policja, Sigurimi. Jak to ze służbami na pograniczu tajności bywa, problem pozycji funkcjonariuszy i współpracowników aparatu represji nie zakończył się ani w 1985 roku, gdy umarł Enwer Hodża, ani w 1990 roku, kiedy Albańczycy zbuntowali się przeciw jego pogrobowcom. W dodatku pierwsze wybory po upadku komunizmu z 1991 roku wygrała Partia Pracy Albanii, postkomuniści kontrolujący wcześniej środki masowego przekazu. Nie spełniały one desygnatów wolnych, demokratycznych wyborów. Rok później odbyły się kolejne protesty i rząd obalono. Wybory z 1992 roku wygrała już opozycja demokratyczna. Jednocześnie społeczeństwo pozostawało spolaryzowane – wieś była bardziej lojalna wobec poprzednich władz i nie docierały o niej informacje o coraz to nowych skandalach dokonanych za Hodży. A o informacje o nadużyciach również było niełatwo. Albania stale zmieniała przepisy lustracyjne, dopiero w ubiegłej dekadzie udało się powołać urząd odpowiedzialny za wgląd do akt Sigurimi. Wielu odpowiedzialnych za komunistyczne zbrodnie uniknęło odpowiedzialności, wielu udało się także zachować majątek. A nowa epoka też nie była bez wad.

Ciepła woda w kranie i Adriatyku

Przetłumaczona na język polski albańska autorka, Lea Ypi, w swoim autobiograficznym reportażu „Wolna" dodała podtytuł o końcu świata w Albanii. Upadek Hodży i systemu komunistycznego był pewnym końcem świata. Oprócz oczywistych blasków miał także cienie, które jawiły się z resztą w każdym kraju postkomunistycznym. Natychmiast pojawił się problem reprywatyzacji, który ciągnął się latami. Opozycja demokratyczna, w szeregach której nie brakowało inteligencji, była mniej więcej świadoma zbrodni czasów słusznie minionych, ale nie miała jak o nich mówić – nie wykształcił się wszak odpowiedni program nauczania historii, dochodzenia dopiero się zaczynały, a nie każda informacja od razu obiegała cały, wcale nie tak zurbanizowany, nierównomiernie rozwinięty kraj. Nowa władza zlekceważyła również wpływ transformacji gospodarczej na naród. Część byłych trzeciorzędowych działaczy komunistycznych odnalazła się szybko na wolnym rynku lub w szeregach nowej władzy, ale zwykli ludzie nie mieli tyle szczęścia. Szybko rozpoczęły się cięcia, a co za nimi idzie, plaga bezrobocia. Chwilowym remedium (dla rządzących, nie dla zwykłych ludzi) była emigracja młodych. Ceną za niższe wskaźniki bezrobocia okazało się jednak pozbawienie kraju jego najbardziej przyszłościowych dzieci, które zamiast budować potęgę Albanii, harowały na włoskich budowach. Część z imigrantów zarobkowych odesłano, jeszcze inni podejmowali desperackie próby przekraczania zielonej granicy z Grecją. Wśród wyjeżdżających byli jednak również przestępcy budzący niepokój zarówno w kraju przyjazdu, jak i w ojczyźnie. Notabene dalej utrwalony jest stereotyp Albańczyka, który wchodzi w konflikty z prawem. Patologiczne funkcjonowanie

> ALBANIA JESZCZE W LATACH 70. PROWADZIŁA PRZEŚLADOWANIA CHRZEŚCIJAN, UŻYWAJĄC METOD ZNANYCH NAM Z CZASÓW NERONA, OSKARŻAJĄC PRZY TYM DUCHOWNYCH O „SZPIEGOSTWO NA RZECZ WATYKANU".

eprasa.pl 10f1732c5d

państwa nakręcały również piramidy finansowe. Albańczycy sprzedawali swoją ziemię, mieszkania i dobytek w celu inwestycji w przedsięwzięcia obiecujące pomnożenie gotówki. Na pewnym etapie swoje środki lokowało w nich 2/3 pełnoprawnych obywateli. Z końcem 1996 roku przedsiębiorstwa piramidowe przestały wypłacać środki, część ludzi straciło majątki życia, a w 1997 roku wybuchły protesty antyrządowe, które przerodziły się w zbrojne zamieszki (podczas których splądrowano wojskowe magazyny broni). Interweniować w ramach misji ONZ musiały Włochy, a rząd opozycyjny upadł. Państwo na południu kraju w zasadzie istniało jedynie na papierze. Przeprowadzono nowe wybory, miało być lepiej. Czy było? Jak ta sytuacja się rozwijała? Albania szła ku dobremu, chociaż powoli. Dalej infrastruktura w kraju, poza miejscami turystycznymi, nie jest najlepsza. Co prawda, w ciepłym Adriatyku kąpie się sporo turystów, a w większości domostw jest ciepła woda w kranie, ale w całej albańskiej układance brakuje jednego: rozwiązań, które zapewnią rozwój i bezpieczną przyszłość. Do dzisiaj wielu Albańczyków nie może liczyć na stabilne zatrudnienie, niedrogi koszyk sklepowy i własne cztery ściany. Rząd, na którego czele obecnie stoi Edi Rama z Partii Socjalistycznej (kontynuatora postkomunistów) z kolei ma na swoim koncie skandale korupcyjne. Jego poprzednicy nie byli lepsi; w 2013 roku, pod koniec rządów Partii Demokratycznej, wskaźniki korupcji również szybowały, a bezrobocie wynosiło oficjalnie 14%.

„Rewolucja Flamingów”

W niespełna trzymilionowej Albanii rozkwitła turystyka – 10 milionów przyjezdnych odwiedziło kraj w 2023 roku. Co prawda państwo w jakimś niewielkim stopniu przyciągało zwiedzających nawet za Hodży, ale w przeciągu ostatnich lat mamy do czynienia z gwałtownym wzrostem zainteresowania krajem. Jak grzyby po deszczu urosły kolejne kurorty na Riwierze Albańskiej. Ulice Tirany, uważanej za jedną z brzydszych stolic Europy, wypełniły się busikami i autokarami zmierzającymi w kierunku Durres czy Sarandy. W wielu miejscach zapłaci się euro, w wielu zobaczy się napis „Wstęp wzbroniony” – wszak wybrzeże obrosło w prywatne plaże, powykupywane leżaki i bary, na które zwykłego Albańczyka zwyczajnie nie stać. Nie stać go również na czynsz na własnej ojcowiźnie, bo jeśli jego rodziców przydzielono do pracy na wybrzeżu, to prędzej czy później pojawi się deweloper chętny do inwestycji na miejscu jego rodzinnego domu. Ceny na rynku nieruchomości osiągnęły niewyobrażalny poziom. Znikają też sklepy i restauracje, w których do niedawna lokalni mieszkańcy raczyli się rakiją i tradycyjną kuchnią – na ich miejscu powstają sklepy z pamiątkami, sieciówki oraz pułapki na turystów. Niektórzy mają również problemy z pracą; ta często jest, ale na sezon, wymaga dobrej znajomości angielskiego i nie pozwala się utrzymać. Żywioł nadmiernej turystyki dotknął także dziką przyrodę. Emblematyczne Jezioro Ochrydzkie wypełnia się zanieczyszczeniami, w okolicach Durres, przy plaży publicznej, pływa szkło (autorka tekstu miała wątpliwą przyjemność cudem uniknąć wdepnięcia w rozbitą szklankę), wydmy nad Morzem Jońskim zostały zalane betonem. W końcu czara goryczy się przelała – rząd Ediego Ramy wydał zgodę na budowę luksusowego resortu w rejonie Zvërnec i wyspy Sazan. Jest to obiekt chroniony, znany ze swojej dziewiczej przyrody i stanowiący dom dla wielu zagrożonych gatunków zwierząt. Żyją tam również dzikie, różowe flamingi, które nie będą mogły liczyć na ochronę, jeśli zgodnie z planem teren trafi w prywatne ręce Ivanki Trump oraz Jareda Kushnera. Chociaż sama w sobie rodzina prezydenta Stanów Zjednoczonych nie jest bezpośrednim winowajcą sytuacji, należy mieć na uwadze realia kraju – rząd albański zdaje się faworyzować zagranicznych inwestorów i kupców kosztem bogactwa naturalnego kraju oraz rodzimych mieszkańców. W maju 2026 roku pojawili się protestujący, którzy obwołali swój ruch „Rewolucją Flamingów” (Revolucioni i Flamingove) ze względu na zarówno znaczenie dosłowne, jak i metaforyczne; flamingi żyją w dużych grupach i wspólnie je bronią. Do postulatu umorzenia sprzedaży albańskich skarbów naturalnych doszły kwestie walki z korupcją, oligarchią, przestępczością zorganizowaną, nadmierną turystyką (demonstranci żądają między innymi likwidacji wprowadzonych w ostatnich latach przez rząd ułatwień dla zagranicznych inwestorów) oraz żądania

RZĄD ALBAŃSKI ZDAJE SIĘ FAWORYZOWAĆ ZAGRANICZNYCH INWESTORÓW I KUPCÓW KOSZTEM BOGACTWA NATURALNEGO KRAJU ORAZ RODZIMYCH MIESZKAŃCÓW.

eprasa.pl 10f1732c5d

praworządności, a nawet dymisji rządu. Potem poruszono temat jeszcze bardziej skomplikowanych problemów: zaniedbanej służby zdrowia, edukacji i nierówności społecznych. Przedstawiciele ruchu początkowo spotykali się na wybrzeżu, w miejscu planowanej inwestycji. Potem protesty rozlały się na inne miasta, w tym Tiranę. Co istotne, nie zostały one upartyjnione. Opozycja, w tym sam skompromitowany były premier Sali Berisha, zachęca do udziału w protestach, ale się na nich nie pojawia, a jej transparenty nie są mile widziane. Co innego kreatywne hasła, których nie brakuje!

Albański węzeł gordyjski

Protesty trwają i uchodzą za pokojowe. Premier Edi Rama jednak oskarża demonstrantów o stanowienie elementu wojny hybrydowej (pojawiły się nawet zarzuty działalności agenturalnej na rzecz Islamskiej Republiki Iranu). Czy strona rządowa w końcu ustąpi? Nie jest to pierwsza sytuacja, gdy Albańczycy próbują wymusić na rządzie ustępstwa w celu ochrony dziedzictwa narodowego, ale próby odpowiedzi na to pytanie byłyby wróżeniem z fusów. Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, mając na uwadze szeroki zakres postulatów protestujących oraz wątek państw trzecich. Albańczycy stanowią dosyć proamerykańskie społeczeństwo, co ma również związek z konfliktem o Kosowo (w którego stolicy, Prisztinie, stoi pomnik Billa Clintona). Nie można jednak nazwać rewolucji flamingów stricte antyamerykańską. Nie ma też łatwych rozwiązań – Albanię do stanu, w którym jest obecnie, doprowadziły dekady zaniedbań i wcześniejsze doświadczenie terroru. Pewna jest słuszność głównego postulatu protestujących: zaprzestanie opierania całej gospodarki państwa na turystyce. Postawienie na turystyczną kartę w wielu krajach zakończyło się dramatycznie. Jednocześnie nie można uznać zjawiska wzrostu zainteresowania podróżami do Albanii za jednoznacznie negatywne. W tym państwie przed pojawieniem się biur podróży nie było innych, większych inwestycji, a jakby na to nie patrzeć, przynajmniej część młodych znalazła zatrudnienie w sektorze turystyki. Główny problem leży w kwestii braku odpowiednich regulacji, a mówiąc szerzej, w obrazie lokalnej klasy politycznej dotkniętej patologicznym dziedzictwem postkomunizmu. Mając na uwadze oddolność ruchu flamingów, można liczyć na pewne zmiany na krajowej scenie politycznej. Być może, tak jak w obliczu innych kryzysów, utworzą się obywatelskie komitety, a społecznicy i politycy za kilka lat będą już innymi ludźmi: młodszymi, ideowymi, nieskażonymi patologiami. Na razie obserwujemy prawdopodobnie największe pokojowe protesty w historii kraju. Nic nie wskazuje na to, by miały się szybko zakończyć, lecz nie widać też zbrojnej eskalacji, jak w przypadku 1997 roku i piramidowej rewolucji. Pewne jest, że dla funkcjonowania całego państwa oraz dobrobytu obywateli nie można problemów poruszanych przez protestujących zamiatać pod dywan. Wszak rzadko się zdarza, że młodzi wychodzą po najważniejszą z ważnych dla obywatela kwestii: po godność.

> NIE JEST TO PIERWSZA SYTUACJA, GDY ALBAŃCZYCY PRÓBUJĄ WYMUSIĆ NA RZĄDZIE USTĘPSTWA W CELU OCHRONY DZIEDZICTWA NARODOWEGO.



Z głębokim żalem żegnam

Annę Knysok

wiceminister zdrowia w latach 1997–2001.

W imieniu
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”
składam rodzinie, bliskim
i przyjaciołom Zmarłej
wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa
wsparcia w tym trudnym czasie.

Piotr Duda

przewodniczący
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

eprasa.pl 10f1732c5d

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



O znajomości świata współczesnego

Zdzisław Krasnodębski

Donald Tusk przez ostatnie lata usilnie starał się o to, żeby Polacy nie zapomnieli, że Mateusz Morawiecki był kiedyś jego doradcą. I – jak widzimy – chyba odniósł sukces. Do najbardziej znanych jego „wrzutek" na ten temat należy wpis na platformie X z 23 maja 2020 roku: „Mateusz nie zawsze mija się z prawdą. Kiedy był moim doradcą, mówił, że prezes nie ma pojęcia o współczesnym świecie i gospodarce".

Biorąc pod uwagę powszechnie znaną prawdomówność premiera Tuska, nie można być pewnym, czy takie słowa kiedykolwiek rzeczywiście padły. Fakt, że Mateusz Morawiecki był członkiem Rady Gospodarczej, nie oznacza także, że rzeczywiście „doradzał" Tuskowi. Nie można mieć natomiast wątpliwości co do intencji tego wpisu. W tych dwóch jakże treściwych zdaniach, oprócz przypomnienia swoich dni chwały jako premiera otoczonego gronem wybitnych doradców, Tuskowi chodziło o wbicie klina między Mateusza Morawieckiego i Jarosława Kaczyńskiego. Ich współpraca była przecież podstawą rządów Zjednoczonej Prawicy, a ich komplementarność sprawiła, że były to rządy dla Polski niezwykle owocne. Poróżnienie tych dwóch czołowych polityków PiS dawało nadzieję, że PO na czele z Tuskiem będzie mogła wrócić do władzy i spożyć te owoce.

Czy sam Donald Tusk miał i ma pojęcie o współczesnym świecie i gospodarce? Gospodarkę zostawmy na boku, bo w końcu nie jest on ekonomistą, ale jeśli chodzi ogólnie o świat, nie można chyba odmawiać mu kompetencji. Był przecież przez lata chwalonym na Zachodzie premierem Polski, zajmował wysokie stanowisko w UE – najwyższe, jakie kiedykolwiek Polak zajął w całej, choć nie tysiącletniej, historii tej organizacji.

Ale zanim zaczniemy oceniać, kto ma pojęcie o świecie współczesnym i gospodarce, warto się zastanowić, co to w ogóle znaczy, na czym polega – zawsze przecież niepełna – znajomość świata, co to znaczy pojmować, rozumieć świat współczesny.

Można powiedzieć, że znajomość świata współczesnego to wiedza o tym, jakie są jego mechanizmy, jakie w nim obowiązują reguły, jak skonfigurowana jest władza, jak przeprowadzić jakieś przedsięwzięcie, jak i z kim rozmawiać, negocjować. To wiedza „operacyjna", niezbędna, by się w świecie obracać, by realizować swoje ambicje, zająć odpowiednią pozycję.

Jeśli jednak nie ma się siły sprawczej, jeśli w ogóle nie chce się świata kształtować, to taka znajomość świata współczesnego prowadzi do uległości, do przeświadczenia, że to, co aktualnie rzeczywiste, jest zawsze rozumne i rozsądny człowiek powinien się dostosować. Taka postawa to nieustanna adaptacja do wymogów świata współczesnego, wymogów, które formułuje i narzuca ktoś inny, a my – co najwyżej – rzucimy od czasu do czasu, ku pokrzepieniu serc, jakiś bon mocik.

Taki był Donald Tusk. Tak działał i działa jako polityk. Jeśli trzeba było się porozumiewać z Rosją, to robił „reset", jeśli trzeba było przyjmować imigrantów, to krytykował zabezpieczania granicy – i odwrotnie, gdy inny wiatr zaczął wiać z Brukseli czy Berlina. Jako przewodniczący Rady Europejskiej nie błyszczał. To nie on nadawał kierunek unijnej polityce, on tylko ją żyrował. I mało już kto poza Polską pamięta, że pełnił tę funkcję. Jako przewodniczący partii EPP niczym

> FAKT, ŻE MATEUSZ MORAWIECKI BYŁ CZŁONKIEM RADY GOSPODARCZEJ, NIE OZNACZA TAKŻE, ŻE RZECZYWIŚCIE „DORADZAŁ" TUSKOWI.

eprasa.pl 10f1732c5d

się nie wyróżnił. Bruksela nie płakała, gdy wrócił na ojczyzny łono – i to jako premier czyniący Polskę znowu krajem „proeuropejskim".

„Tusk – wydanie zagraniczne" był zupełnie inny niż „Tusk – wydanie polskie". W Brukseli był skromnym, dość cichym, pozbawionym charyzmy, bezbarwnym politycznym funkcjonariuszem, protegowanym Angeli Merkel. Koledzy z innych krajów w PE nie bardzo wierzyli w nasze opowieści o jego – niewątpliwych przecież – talentach politycznych, tym bardziej że w angielskim, nie mówiąc już o rudymentarnym niemieckim, zanika jego specyficzna elokwencja. Gdy raz tylko odwiedził grupę EKR, wypadł blado; dopiero gdy – zupełnie niepotrzebnie – zaczęliśmy zadawać mu pytania po polsku, odzyskał wigor polemiczny, pokazał pazur. Potulny magister Jekyll jak za dotknięciem czarodziejskiej leszczynowej różdżki zmienił się w drapieżnego pana Hyde'a.

Może więc to nie jego talenty i nie jego znajomość świata były najważniejsze. Może to raczej świat, a raczej światek, by nie powiedzieć półświatek, berlińsko-brukselski znał i cenił Tuska. Na stanowiska ważne, lecz nie decyzyjne, dobiera się tam ludzi zaufanych, lojalnych, pozbawionych krytycyzmu wobec UE i jej wiodących mocarstw. Wyraźne są przy tym historycznie uwarunkowane preferencje. Mimo całego „antyfaszyzmu" współczesnej Europy dziadek z Wehrmachtu jest tam raczej atutem niż przeszkodą – w przeciwieństwie do dziadka z AK czy WiN; Polak – „pisowiec" nie może liczyć na fory, w przeciwieństwie do Łotysza, który w przeszłości uczestniczył w marszach łotewskich weteranów Waffen SS.

Takie „operacyjne" rozumienie świata współczesnego w formie skrajnej przypomina pojmowanie świata paryskiego przez Étienne'a Lousteau w „Straconych złudzeniach". Taki realizm to skrajny prezentyzm, zanurzenie się w bieżącej chwili, zniewolenie przez teraźniejszość. Tymczasem w polityce – w prawdziwie twórczej polityce – czasami trzeba walczyć z teraźniejszością, trzeba przegrać, żeby wygrać, popłynąć pod wiatr, by ostatecznie jako pierwszy dopłynąć do mety.

Aby się na to zdobyć, aby zauważyć, że nie wszystko, co aktualnie rzeczywiste, jest rozumne, trzeba się odkleić od teraźniejszości, trzeba dystansu wobec tego, co jest, trzeba zewnętrznego wobec niej punktu odniesienia. Wtedy nie wszystko, co rzeczywiste, będzie jawić się jako rozumne, a niektóre rzeczy ujawnią się jako niepotrzebne, głupie albo nawet niebezpieczne, odrażające, niegodziwe itd. Dystans taki jest możliwy, gdy ma się wyższe cele, trwalsze ideały, dają go wiara, mocne tradycyjne wzory, a także wiedza – historyczna czy filozoficzna.

ABY ZAUWAŻYĆ, ŻE NIE WSZYSTKO, CO AKTUALNIE RZECZYWISTE, JEST ROZUMNE, TRZEBA SIĘ ODKLEIĆ OD TERAŹNIEJSZOŚCI, TRZEBA DYSTANSU WOBEC TEGO, CO JEST, TRZEBA ZEWNĘTRZNEGO WOBEC NIEJ PUNKTU ODNIESIENIA.

Dopiero te dwa rodzaje znajomości świata współczesnego – wiedza „operacyjna" i ta „filozoficzna", wynikająca z oglądu z dystansu, dają prawdziwą znajomość świata, pozwalają na oderwanie się od teraźniejszości i na jej kształtowanie. Nic nie wskazuje, by Donald Tusk kiedykolwiek się na taki dystans zdobył. Nic nie wiadomo o jego ideałach. Czy jego wiedza historyczna lub filozoficzna pozwala mu wznieść się ponad to, co jest tu i teraz? Kiedyś – w czasie lotu Warszawa – Bruksela – widziałem, że czytał (a może tylko markował czytanie?) książkę Marka Lilli „The Shipwrecked Mind", ale ten wybór lektury tylko potwierdza przypuszczenie o hołdowaniu teraźniejszości.

A jego dawny doradca? Trudno podważać jego wiedzę na temat tego, jak „operuje" świat współczesny, w tym gospodarka i rynki finansowe, jak na co dzień działają takie organizacje jak Unia Europejska. Także wiedzą „nieoperacyjną" Matusz Morawiecki wyrasta daleko ponad przeciętną polskiego świata politycznego. Nie jest to bynajmniej tylko wiedza teleturniejowa polegająca na tym, by szybko odpowiedzieć, w którym roku Walerij Brumel pobił rekord świata, jak się nazywa stolica Nepalu albo ile waży przeciętny zawodnik sumo, ale znajomość głębszych reguł i mechanizmów świata i jego historii. Ale być może ta wiedza mogła dopiero zaowocować we współpracy z kimś, kto nie ma „pojęcia o świecie współczesnym i gospodarce", kto patrzy nań z dystansu, z perspektywy niedzisiejszej Polski, niedzisiejszych idei, takich jak suwerenność i wolność narodowa?

Być może komplementarność tych dwóch sposobów rozumienia świata była jednym ze źródeł sukcesów rządów Prawa i Sprawiedliwości. Chroniła i przed przystosowaniem, i przed jałową retoryką protestu. Przynajmniej do pewnego czasu. Dopóki nie przeważył lęk przed wyborczą przegraną.

eprasa.pl 10f1732c5d

KULTURA

Czytaj też:

Prawda, wolność i niezłomna nadzieja. Antonina Krzysztoń zaśpiewa w Sali BHP w 45. rocznicę I Festiwalu Piosenki Prawdziwej 53

Co pokazuje sukces „Citizen Vigilante”? 54



Zespół MJUT

EKLEKTYZM JEST DEFINICJĄ dobrej sztuki

– Na zewnątrz mogę sprawiać wrażenie człowieka spokojnego, czasem może nawet trochę flegmatycznego. Chociaż trzeba byłoby popytać innych. Problem polega na tym, że w środku jest jednak sporo niepokoju, takiego wewnętrznego rozedrgania. Myślę, że właśnie o tym jest piosenka „Spokojnie” – o próbie uspokojenia się – mówi **Patryk Kienast**, autor tekstów, kompozytor, multiinstrumentalista, lider i wokalista zespołu **MJUT**, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Jesteś takim spokojnym człowiekiem jak Wasz singiel?

– Właśnie nie. Może na zewnątrz sprawiam takie wrażenie – trzeba byłoby zapytać moich znajomych – ale w środku cały czas biję na alarm. I to jest właśnie problem.

– Pomyślałem, że „Spokojnie” mocno identyfikuje się z Tobą nie tylko jako artystą, ale przede wszystkim jako człowie-

eprasa.pl 10f1732c5d

Najnowszy singiel „**Spokojnie**” grupy MJUT opowiada o tym, by spróbować wreszcie przestać babrać się w trudnej przeszłości, zapomnieć o niej i odciąć to cierpienie.

kiem funkcjonującym na tym łez padole.
– Mogłoby się tak wydawać. To właśnie jest to, o czym przed chwilą mówiłem. Wydaje mi się, że na zewnątrz mogę sprawiać wrażenie człowieka spokojnego, czasem może nawet trochę flegmatycznego. Chociaż trzeba byłoby popytać innych. Problem polega na tym, że w środku jest jednak sporo niepokoju, takiego wewnętrznego rozedrgania. Myślę, że właśnie o tym jest ta piosenka – o próbie uspokojenia się.

– Co w takim razie powoduje ten niepokój?
– Problem jest głębszy i nie dotyczy sytuacji na świecie, która – jak omawialiśmy przed wywiadem – jest bardzo niepokojąca i z każdym dniem staje się coraz gorsza. Przede wszystkim chodzi o dzieciństwo i sprawy związane z sytuacjami, które nie były najlepsze i wpłynęły bezpośrednio na to, że trwa raczej walka o przetrwanie niż delektowanie się życiem.

– Wchodzimy więc trochę w temat terapeutyczny, bo bardzo wiele naszych problemów ma swoją genezę właśnie w dzieciństwie. Jedni się chowają, drudzy walczą o uwagę. Część osób biła się o nią od najmłodszych lat, inni mieli wiele problemów i chowali się w swoich pasjach czy zainteresowaniach. Do której grupy należałeś?
– A jedna wyklucza drugą?

– Nie.
– Właśnie. Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że trzeba było zarówno się chować, jak i walczyć o uwagę. Jeżeli więc mówimy o takim niepokojącym miksie tych dwóch rzeczy, to prawdopodobnie właśnie tak było.

– Czyli jedno łączyło się z drugim.
– Myślę, że tak.

– Utrzymujesz się już całkowicie z muzyki?
– Żyję z muzyki. Tak, mogę tak powiedzieć. Aczkolwiek jest to trochę substytutowa działalność muzyczna, ponieważ nie wiąże się wyłącznie z koncertowaniem, nagrywaniem piosenek, siedzeniem w studiu i jeżdżeniem busem.

– Jesteś nauczycielem?
– Tak, uczę gry na gitarze.

– Patrzę na Twój spokój i myślę, że musisz mieć anielską cierpliwość do uczniów.
– Mam anielską cierpliwość do uczniów.

– Właśnie to widzę po Twojej ekspresji i nawet po sposobie, w jaki ze mną rozmawiasz.
– Cieszę się, że to widzisz, chociaż praktycznie mnie nie znasz. Jest tutaj jeszcze wątek, o którym wspominaliśmy na początku. Mam ogromną potrzebę akceptacji. Wysyłam więc w stronę moich podopiecznych dobre sygnały, staram się dbać o ich spokój podczas zajęć, dobre nastawienie i samopoczucie. Jestem dla nich po prostu takim starszym kolegą, chociaż moi uczniowie są w bardzo różnym wieku. Niektórzy są nawet starsi ode mnie.

MAM ANIELSKĄ CIERPLIWOŚĆ DO UCZNIÓW.

– Masz uczniów starszych od siebie?
– Tak.

– Uczysz wyłącznie gry na gitarze?
– Tak, chociaż również na ukulele, więc to dosyć bliskie instrumenty. Gitara klasyczna, akustyczna, elektryczna i ukulele.

– Jesteś samoukiem czy kończyłeś akademię muzyczną?
– Akademii nie kończyłem, ale przez dziesięć lat chodziłem do szkoły muzycznej.

– Czyli pierwszy i drugi stopień?
– Nie ukończyłem całego drugiego stopnia. Zakończyłem edukację w drugiej klasie. Grałem wtedy na skrzypcach.

– To na początku nauki jest jeden z najgorszych dźwięków, jakie człowiek może usłyszeć.
– Na początku rzeczywiście tak jest.

– Myślisz, że dla wielu Twoich uczniów to jest pierwszy świadomy kontakt z muzyką?
– Zdarzają się dzieci, które właściwie niczego nie słuchają i nie znają żadnej piosenki. Rozumiesz? Żadnej. Kiedy później trochę pogrzebiemy, znajdziemy coś z bajki, którą kiedyś oglądały albo oglądają obecnie, ale czasami nie znają nawet Dawida Podsiadły. Niczego. Często dlatego, że rodzice również nie słuchają muzyki.

– Mówimy tutaj o dzieciach do którego roku życia?

eprasa.pl 10f1732c5d

– Powiedzmy, że nawet do dziesiątego.

– I zdarzają się dziesięciolatkowie, którzy praktycznie nie słuchają muzyki?
– Tak, ponieważ zdarzają się domy, w których rodzice w ogóle jej nie słuchają. Muzyka po prostu nie leci. Dziecko przez to również nie ma z nią większego kontaktu.

– Czego zespół MJUT uczy swoich słuchaczy?
– Przede wszystkim oryginalności. To jest dla mnie bardzo ważne. Słucham bardzo różnej muzyki, ale zawsze zależy mi, żeby u artystów, których wybieram, pojawiał się jakiś pierwiastek oryginalności. Kiedy coś brzmi po prostu zwyczajnie, bardzo szybko przestaję tego słuchać.

– Co oznacza dla Ciebie „zwyczajnie”? Przy czym myślisz: „Dobra, wyłączam”, nawet jeżeli taka muzyka osiąga dużą popularność?
– Nazwisk ze mnie nie wyciągniesz. [śmiech]

– Nie musisz podawać nazwisk. Możesz wskazać pewną estetykę.
– Najbardziej przeszkadza mi sytuacja, kiedy ktoś ma możliwości stworzenia czegoś oryginalnego, ale cały czas porusza się w sprawdzonym schemacie, ponieważ wie, że właśnie w nim powinien się poruszać.

– Czyli strefa komfortu.
– Dokładnie. I to mnie odstręcza. Są przecież znani artyści, którzy mogą sobie pozwolić na kapitalnych producentów, najlepszych instrumentalistów i najlepsze studia nagraniowe.

– Czym wyróżnia się zespół MJUT spośród innych zespołów?
– Nadal szukamy swojego brzmienia. Wiadomo, że każdy zespół na swój sposób go szuka, ale my jesteśmy bardzo zaangażowanymi poszukiwaczami.

– Graliście na Dniu Ziemniaka, jak to wygląda z perspektywy zespołu alternatywnego?
– Nie pamiętam już nawet, czy graliśmy tam jako pierwsi. Wyobraź sobie jednak, że przed nami przyjechał zespół disco polo: dwóch tancerzy, wokalista i menedżer. Przyjechali samochodem osobowym i zapytali, czy mogą zagrać przed nami, bo tego dnia mieli jeszcze trzy koncerty, a jeden już zdążyli zagrać. Łącznie mieli cztery koncerty jednego dnia.

ZDARZAJĄ SIĘ DZIECI, KTÓRE WŁAŚCIWIE NICZEGO NIE SŁUCHAJĄ I NIE ZNAJĄ ŻADNEJ PIOSENKI.

– Widzę, że Skolim ma konkurencję.
– To było dosyć dawno temu, więc można powiedzieć, że oni byli prekursorami tego, co dzisiaj robi Skolim. [śmiech]

– Pamiętasz, jak się nazywali?
– Nie pamiętam, ale był to zespół mający jakiś swój discopolowy przebój.

– Czyli wokalista i dwóch tancerzy. Trochę stara szkoła.
– Prawdopodobnie tak, skoro byli tancerze. Dzisiaj chyba rzadziej się to spotyka.

– A gdzie to było?
– W Janowcu Kościelnym pod Nidzicą. Odbywał się tam Dzień Ziemniaka. Pojechaliśmy, a ja bardzo lubię ziemniaki w każdej formie. Całą drogę zastanawiałem się: „Będzie pieczony ziemniak, może taki, może inny, może jakaś babka ziemniaczana. Kto wie?”. Przyjechaliśmy na miejsce i okazało się, że na Dniu Ziemniaka nie ma już ziemniaków. [śmiech]

– Dramat.
– I nagle przyjeżdża ten zespół osobówką. Mówią: „Chłopaki, sprawa jest taka, że mamy jeszcze trochę koncertów do zagrania”. Ostatni występ discopolowego zespołu takiego dnia odbywa się już zazwyczaj w klubie czy dyskotece.

– Tam publiczność może trochę dłużej poczekać.
– Właśnie. Do pewnego momentu trzeba być wszędzie na czas, a później mniej więcej około trzeciej w nocy musisz pojawić się w jakiejś dużej dyskotece w małej miejscowości. Powiedzieliśmy więc: „Dobra, grajcie chłopaki”.

O piosence „Spokojnie”

– Napisałem ten utwór właściwie samemu sobie, jako wyraz światełka w tunelu i nadziei na coś innego niż tylko wszechogarniający mrok. To nieco naiwne podejście, bo przecież życie nie zmienia się z dnia na dzień, ale warto było zostawić sobie tę pamiątkę w postaci słonecznego, kojącego tekstu, który wciąż bardzo mnie wzrusza i podnosi na duchu. Mam nadzieję, że nie tylko na mnie ta piosenka będzie działać w taki sposób – opowiada lider i wokalista zespołu MJUT Patryk Kienast.

eprasa.pl 10f1732c5d

MJUT

Trójmiejska grupa zadebiutowała w 2007 roku piosenką „Do końca wszystkiego", którą Piotr Kaczkowski umieścił na swojej kultowej składance „Minimax pl 4". Debiutancki album zespołu – „Akcja ratowania ślimaków" z 2011 roku przyniosła duszne i mroczne dźwięki, trochę melodii i kilka opowieści o zmaganiach młodości ze światem. Na drugim albumie „9" młodzi eksperymentatorzy dojrzeli i przeobrazili się w świadomych artystów, potrafiących nadać swoim pomysłom bardziej piosenkową formę. To właśnie z tamtej płyty pochodzą przebojowe single „Tyle, ile chcę", „Wszyscy ludzie i ja" czy „Puść go".

Za sprawą producenta Pawła Cieślaka, który wyprodukował trzeci album grupy, MJUT urozmaicił brzmienie swoich piosenek, odważnie sięgając po elektronikę. Tak powstał chociażby singiel „Nie chcę prawdy", który stał się najpopularniejszym utworem zespołu.

W 2025 roku zespół powrócił z nowymi utworami, przy których artyści podjęli współpracę z producentem Mariuszem Obijalskim. Grupa szykuje się do premiery swojego kolejnego albumu, który zapowiadają single: „Detale", „Wszyscy tacy piękni" oraz „Spokojnie".

Zespół powrócił również na scenę z własną trasą klubową. Wystąpił także w trójmiejskiej Ergo Arenie jako gość zespołu Coma podczas koncertu w ramach trasy RE-START.

MJUT tworzą:
- Patryk Kienast – wokal, gitara, klawisze,
- Marcin Świątek – gitara,
- Tomasz Hoffman – perkusja.

– Nie korciłoby Cię stworzenie discopolowego alter ego?
– Nie. [śmiech]

– Czyli aż tak daleko nie idziemy?
– Nie dlatego, że mam jakiś problem z tym gatunkiem. Naprawdę nie. Tak, jak mówiłem na początku, ogromne znaczenie mają dla mnie oryginalność i brzmienie. I to niestety skreśla przyszłą przygodę discopolowca, którą właśnie zacząłeś mi planować. [śmiech]

BARDZO LUBIĘ ZIEMNIAKI W KAŻDEJ FORMIE.

– Ja już widziałem siebie jako prowadzącego te koncerty.
– Ty masz gadane, więc spokojnie mógłbyś je prowadzić. [śmiech]

– Powoli zmierzamy do finału, chociaż można z Tobą rozmawiać godzinami. Kiedy płyta? Niektórzy zaczęliby wywiad właśnie od tego pytania, a my nim właściwie kończymy. Album będzie rozwinięciem tego, co słyszymy w „Spokojnie", czy czymś nas zaskoczycie?
– Na pewno zaskoczymy. Trzy pierwsze single, które znajdą się na tej płycie – bo na razie mamy trzy utwory zapowiadające czwarty album – są bardzo różne. Już teraz wiadomo więc, że będzie to płyta eklektyczna, na czym potwornie mi zależy. To jest zresztą kolejna odpowiedź na jedno z Twoich pierwszych pytań o to, co chcę poprzez MJUT pokazać i z czego chciałbym zostać zapamiętany. Na pewno właśnie z eklektyczności. Chcielibyśmy, żeby każda piosenka była trochę inna. Żeby ktoś, kto włączy płytę, mógł się zainteresować i pomyśleć: „Tutaj zagrali tak, tutaj inaczej, tutaj mówią o tym, a tutaj o czymś zupełnie innym". To jest dla mnie strasznie ważne. Nie lubię mało eklektycznych albumów. Eklektyzm jest dla mnie właściwie definicją dobrego albumu, a może nawet definicją sztuki.

– Album ukaże się jeszcze w tym roku czy już w przyszłym?
– W przyszłym. Musi ukazać się w przyszłym roku. Ile można kazać słuchaczom czekać?

– Czyli płyta będzie eklektyczna, podobnie jak nasza rozmowa.
– Nasza rozmowa zdecydowanie była eklektyczna i powiem Ci, że było super. Jeszcze nikt wcześniej nie pytał mnie tak szeroko o moją działalność poza zespołem, tę – jak ją nazwałem – substytutową działalność muzyczną. Pytanie o to, czy żyję z muzyki, oczywiście już padało, ale kiedy ktoś dowiadywał się, że jestem również nauczycielem, temat zazwyczaj był szybko porzucany.

– Właśnie dlatego nasza rozmowa była tak eklektyczna. Dziękuję Ci bardzo.
– To ja dziękuję. Cieszę się, że tutaj przyjechałem. To było bardzo ciekawe doświadczenie.

eprasa.pl 10f1732c5d

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

GRACIE ABRAMS – DAUGHTER FROM HELL
WYD. INTERSCOPE



Gracie Abrams na „Daughter from Hell" wyraźnie poszerza granice swojego intymnego, melancholijnego popu. Nadal najważniejsze pozostają emocje, szeptany wokal i teksty przypominające fragmenty osobistego dziennika, ale tym razem artystka pozwala sobie na więcej dramaturgii i brzmieniowych kontrastów. Delikatne gitary i oszczędna elektronika spotykają się z bardziej rozbudowanymi aranżacjami, a Abrams przekonująco opowiada o bólu, zwątpieniu i konsekwencjach własnych decyzji. Nie wszystkie kompozycje zapadają w pamięć równie mocno, a charakterystyczna subtelność wokalistki momentami staje się przewidywalna. Mimo to „Daughter from Hell" jest albumem dojrzalszym i odważniejszym od poprzednich wydawnictw. To płyta, która nie próbuje krzyczeć, lecz konsekwentnie buduje napięcie i pokazuje Abrams jako artystkę coraz bardziej świadomą własnego języka.

AS IT IS – AS IT IS
WYD. FLG



Powroty po dłuższej przerwie często bywają próbą odtworzenia dawnej energii, ale As It Is na swoim imiennym albumie nie ograniczają się do nostalgii. Zespół wraca do poppunkowych korzeni, jednocześnie wykorzystując doświadczenia zdobyte podczas lat osobno. Rezultatem jest materiał pełen melodyjnych gitar, emocjonalnych refrenów i charakterystycznej dla grupy szczerości. Album brzmi znajomo, lecz nie sprawia wrażenia płyty nagranej wyłącznie dla dawnych fanów. W utworach słychać dojrzałość, refleksję nad rozpadem i ponownym odnalezieniem wspólnego języka, ale także zwyczajną radość z grania razem. Nie każdy refren ma potencjał koncertowego hymnu, jednak album nadrabia autentycznością. To udany nowy rozdział – energetyczny, emocjonalny i przypominający, dlaczego As It Is zajęli ważne miejsce na współczesnej scenie poppunkowej.

DJ KHALED – AALAM OF GOD
WYD. REPUBLIC



DJ Khaled od lat działa według sprawdzonej zasady: im większe nazwiska, efektowniejsza produkcja i więcej rozmachu, tym lepiej. „AALAM OF GOD" nie przynosi w tej formule rewolucji, ale ponownie udowadnia, że Khaled znakomicie odnajduje się w roli gospodarza wielkiego hiphopowego widowiska. Album jest wypełniony monumentalnymi bitami, chwytliwymi refrenami i występami gości, którzy nadają kolejnym utworom własny charakter. Całość przypomina bardziej gwiazdorską galę niż klasyczną płytę jednego artysty, co jednocześnie stanowi jej największą siłę i słabość. Khaled stawia przede wszystkim na skalę, energię i natychmiastowy efekt, przez co momentami brakuje tu spójności. „AALAM OF GOD" dostarcza jednak dokładnie tego, czego można oczekiwać: przebojowego, wystawnego hip-hopu stworzonego z myślą o wielkich głośnikach i jeszcze większej publiczności.

LOATHE – A STRANGER TO YOU
WYD. SHARPTONE



Sześć lat oczekiwania na pełnowymiarowy powrót Loathe zaowocowało albumem, który konsekwentnie wymyka się prostym klasyfikacjom. „A Stranger To You" łączy brutalność metalcore'u z przestrzennością shoegaze'u, industrialnym chłodem, elektroniką i zaskakująco delikatnymi momentami. Zespół potrafi w ciągu kilku minut przejść od przytłaczającej ściany gitar do niemal eterycznego spokoju, nie tracąc przy tym własnej tożsamości. Materiał jest wymagający, momentami chaotyczny i celowo nieprzewidywalny, ale właśnie w tych kontrastach kryje się jego największa siła. Loathe nie próbują powtarzać sukcesu poprzednich nagrań – wolą ryzykować i sprawdzać, jak daleko mogą przesunąć granice ciężkiej muzyki. „A Stranger To You" nie jest płytą łatwą, lecz z każdym kolejnym odsłuchem odsłania nowe warstwy i potwierdza wyjątkową pozycję zespołu na współczesnej scenie.

eprasa.pl 10f1732c5d

Prawda, wolność i niezłomna nadzieja.

Antonina Krzysztoń zaśpiewa w Sali BHP

w 45. rocznicę I Festiwalu Piosenki Prawdziwej

Sierpień to dla społeczności NSZZ „Solidarność” czas szczególnej pamięci. W tym roku przypada 45. rocznica I Festiwalu Piosenki Prawdziwej, który w 1981 roku dał Polakom potężny powiew wolności. Z tej okazji Fundacja Promocji Solidarności serdecznie zaprasza na rocznicowy koncert Antoniny Krzysztoń. Wydarzenie odbędzie się 22 sierpnia w samym sercu historycznego Gdańska – w Sali BHP Stoczni Gdańskiej.

Konrad Wernicki



Fot. arch. Antoniny Krzysztoń

GDY W SIERPNIU 1981 ROKU NA FALI SOLIDARNOŚCIOWEGO ZRYWU W GDAŃSKIEJ Hali Olivia wybrzmiały pierwsze akordy I Festiwalu Piosenki Prawdziwej, kultura – oprócz rozrywki – stała się też manifestem wolności, prawdy i narodowej wspólnoty. Piosenki i poezja, niosące otuchę w mrokach PRL-u, pokazały siłę ducha i godność polskiego świata pracy. Dziś, po 45 latach od tamtych przełomowych dni, chcemy wrócić do tamtej idei, by przypomnieć, jak wielką rolę w walce o wolną Polskę odegrały niezależne słowo i muzyka.

Głos, który koi i budzi nadzieję

Nie ma artystki, która pełniej wpisywałaby się w ten jubileusz niż Antonina Krzysztoń. Od dekad jej twórczość stanowiąca unikalne połączenie poezji śpiewanej, folku i głębokiej duchowości dotyka najczulszych strun ludzkiej wrażliwości. Jej piosenki, z kultowymi utworami „Perłowa łódź” czy „Inny świat” na czele, to żarliwy dialog z drugim człowiekiem i poszukiwanie Prawdy. Wyjątkowy głos i niepowtarzalna charyzma pozwolą nam na chwilę zatrzymania i refleksji nad dziedzictwem, które po sobie zostawili bohaterowie Solidarności.

Miejsce, w którym historia wciąż jest żywa

Koncert odbędzie się w przestrzeni absolutnie wyjątkowej – w Sali BHP Stoczni Gdańskiej. To tutaj w 1980 roku rodziła się Solidarność, to tu ważyły się losy naszej Ojczyzny i podpisywano historyczne Porozumienia Sierpniowe.

Zapraszamy wszystkich członków i sympatyków NSZZ „Solidarność”, czytelników „Tygodnika Solidarność” oraz portalu Tysol.pl do wspólnego świętowania.

Przyjdźcie wcześniej, by zwiedzić wystawę muzealną i poczuć ducha miejsca, w którym pisała się historia. Niech sierpniowy wieczór w Sali BHP będzie żywym dowodem na to, że wartości, o które walczyła Solidarność, i muzyka, która jej towarzyszyła, wciąż są w nas żywe.

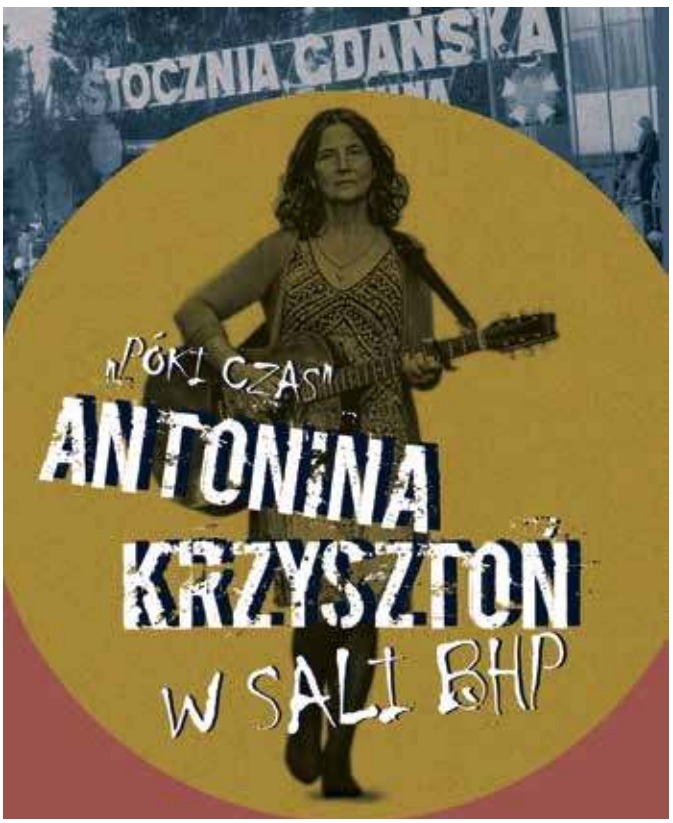

Bilety są dostępne na stronie Biletyna.pl.

eprasa.pl 10f1732c5d

FILM



Co pokazuje sukces „Citizen Vigilante”?

Marek Nowak

Fot. kadr z filmu

Gdy skromny, niezależny film o budżecie wynoszącym zaledwie 2 miliony dolarów niespodziewanie staje się hitem i internetowym fenomenem VOD, produkcję tę trzeba postrzegać jako zjawisko społeczne, a nie tylko popkulturowe. Niskobudżetowy, zrealizowany w półamatorskiej estetyce „Citizen Vigilante” w reżyserii Uwe Bolla stał się najchętniej wypożyczaną pozycją w serwisie Amazon w USA. Obraz wywołał skrajną polaryzację. Doskonale odzwierciedlają to oceny na portalu Rotten Tomatoes, w którym film ma zaledwie kilka procent pozytywnych ocen od krytyków, ale aż ponad 90% od widowni. Pokazuje to po raz kolejny, że w głęboko podzielonym świecie mechanizmy oceny dzieł sztuki są całkowicie podporządkowane politycznym i ideologicznym rozwarstwieniom. Mainstreamowi krytycy z redakcji takich jak „The Guardian” czy „Variety” wprost nazywają film „rasistowską, ksenofobiczną i skrajnie prawicową propagandą”. Z kolei obrońcy tytułu, w tym znany brytyjski konserwatywny publicysta Douglas Murray, podkreślają, że produkcja uderza w realne lęki Europejczyków. Identycznie sytuacja wygląda w Polsce. Na portalu Filmweb dzieło Bolla utrzymuje stosunkowo wysoką średnią ocenę użytkowników (6,4/10), podczas gdy nota zawodowych krytyków drastycznie spada do 1,9/10. Jedynymi miejscami, gdzie film ma szansę na jakąkolwiek formę obrony, są redakcje konserwatywne, takie jak „Gazeta Polska” czy „Nowy Ład”. Liberalny mainstream zwalcza ten obraz z ogromnym ideowym zacięciem. Dziennikarka Marta Górna w „Gazecie Wyborczej” napisała wprost: „Ten film to obrzydliwy gniot. Oglądanie go odbiera człowieczeństwo i nadzieję w ludzkość”. Obejrzałem „Citizen Vigilante” i nie czuję się przez to mniej ludzki. Moja wiara w człowieka również pozostała na niezmienionym poziomie. Nie uważam tej produkcji za film dobry czy udany. Jednocześnie histeryczny opór wobec niego, połączony z próbą cenzury, trudno mi odbierać inaczej niż jako sygnał zawinionej bezradności wobec społecznych lęków i problemów, które ten obraz sygnalizuje.

MOTYW SAMOTNEGO MŚCICIELA, KTÓRY STAJE PO STRONIE OPUSZCZONYCH PRZEZ SYSTEM OFIAR, OD ZAWSZE TKWI GŁĘBOKO W POPKULTURZE.

eprasa.pl 10f1732c5d

Kontrowersyjny reżyser

Uwe Boll to z pewnością postać niezwykle barwna. Ten kontrowersyjny niemiecki reżyser na początku kariery perfekcyjnie wykorzystywał luki w tamtejszym prawie podatkowym, co stało się fundamentem jego finansowej niezależności. W latach 90. i na początku XXI wieku w Niemczech funkcjonowały tzw. schrony podatkowe (Medienfonds) stworzone z myślą o wspieraniu krajowego sektora filmowego. Bogaci niemieccy przedsiębiorcy mogli zainwestować pieniądze w fundusz filmowy i natychmiast odliczyć 100% tej kwoty od swojego podatku dochodowego. Jeśli film okazał się finansową klapą (co w przypadku wczesnych dzieł Bolla było normą), inwestorzy rejestrowali stratę.

> Głównym bohaterem filmu jest grany przez **Armiego Hammera** Michael Sanders, zamożny amerykański biznesmen i weteran wojenny, którego majątek opiera się na imperium nieruchomości odziedziczonym po ojcu. Akcja toczy się w jednym z europejskich państw.

Ta strata pozwalała im drastycznie obniżyć zobowiązania wobec państwa. Zamiast szukać pieniędzy w Hollywood, Boll oferował zamożnym Niemcom bezpieczny mechanizm optymalizacji podatkowej. Za uzyskane środki tanio kupował prawa do ekranizacji znanych gier wideo (np. „Alone in the Dark", „House of the Dead", „BloodRayne") oraz zatrudniał znane hollywoodzkie nazwiska (m.in. Jason Statham, Ray Liotta czy Christian Slater). Budżet filmu był zabezpieczony jeszcze przed pierwszym klapsem na planie. Jakość tych filmów, mówiąc eufemistycznie, pozostawiała wiele do życzenia. Fani gier komputerowych nienawidzili Bolla za niszczenie ich ulubionych uniwersów. Sam reżyser alergicznie reagował na słowa krytyki, a najostrzejszych recenzentów wyzywał na prawdziwe walki bokserskie. Niemniej jednak jego zwycięstwa na ringu nie przekładały się na jakość taśmy filmowej. Z czasem twórca zaczął sięgać po poważniejsze tematy, jak Auschwitz czy społeczna frustracja prowadząca do wybuchów przemocy, lecz jego produkcje rzadko spotykały się z uznaniem. „Citizen Vigilante" to bez wątpienia największy, a zarazem najbardziej niespodziewany sukces w karierze 61-letniego reżysera.

Opowieść o zemście

Głównym bohaterem filmu jest grany przez Armiego Hammera Michael Sanders, zamożny amerykański biznesmen i weteran wojenny, którego majątek opiera się na imperium nieruchomości odziedziczonym po ojcu. Akcja toczy się w jednym z europejskich państw (twórcy celowo nie identyfikują kraju, podając jako miejsce akcji po prostu „Europę"). Sanders, widząc bezradność wymiaru sprawiedliwości wobec brutalnych przestępstw popełnianych przez migrantów, staje się samozwańczym mścicielem (vigilante). Jego celami zostają nie tylko bezpośredni sprawcy, lecz także urzędnicy oraz sędziowie, których decyzje powodują bezkarność wyżej wymienionych przestępców. Motyw samotnego mściciela, który staje po stronie opuszczonych przez system ofiar, od zawsze tkwi głęboko w popkulturze. Clint Eastwood w „Brudnym Harrym", Charles Bronson w „Życzeniu śmierci" czy Marek Kondrat w „Prawie ojca" – krzyczący w stronę policjantów: „Kiedy wreszcie zrozumiecie, że prawo jest dla ludzi, a nie dla przestępców?" – to bliźniacze figury reprezentujące tę samą społeczną emocję. Za każdym razem można wdawać się w dyskusje o etyczność postaw poszczególnych mścicieli, jednak debaty te rzadko przynoszą jasną konkluzję. Podobnie jest z naturalistyczną przemocą ekranową, która towarzyszy tym opowieściom. Czy to forma terapeutycznego rozładowania frustracji, czy zwykła pornografia przemocy? Tu również trudno o prosty werdykt. Jednak w przypadku „Citizen Vigilante" to nie te klasyczne dylematy wywołały burzę.

Słaby film

Sam film uważam za kiepski – nieporadnie nakręcony, bałaganiarski narracyjnie i miejscami nieznośnie rozwlekły. Do tego Michael Sanders, w odróżnieniu od klasycznych ekranowych mścicieli, jest postacią wyjątkowo antypatyczną. Z jednej strony wygłasza nadęte kazania w kierunku grupy nastolatków o pasażerach na gapę w komunikacji miejskiej, przez których rosną ceny biletów. Z drugiej – oburza się, że prawo zabrania mu, ot tak, wyrzucić z dnia na dzień lokatorów zalegających z czynszem na bruk, a państwo chce przeznaczyć jego pustostany na mieszkania socjalne. W tej pokrętnej logice szacunek dla prawa i obowiązek troski o wspólnotę spoczywają wyłącznie na barkach klas niższych. Co więcej, nawet jeśli przyjmiemy optykę ludowej sprawiedliwości, zachowania bohatera budzą uzasadniony moralny sprzeciw. Bezwzględne zabicie całej rodziny muzułmańskiego gwałciciela czy rzeź oddziału antyterrorystów, który przeszukuje jego kryjówkę i nie stanowi dla Sandersa bezpośredniego zagrożenia, to pierwsze z brzegu przykłady. Reżyser sprawniejszy od Bolla zbudowałby wokół tego wielowymiarowy konflikt wartości, przedstawił różne jego strony, pozwalając widzowi kwestionować motywacje każdej z nich. W „Citizen Vigilante" wszelkie etyczne konflikty są iluzoryczne, żadne dylematy moralne

eprasa.pl 10f1732c5d

nie istnieją, a tajemniczemu mścicielowi kibicują wszyscy: od zwykłych obywateli po mainstreamowe media, które w samym filmie przedstawiają go jedynie w pozytywnym świetle, co potęguje jedynie absurdalność tej wizji. Kiepskich filmów o samotnych mścicielach wyprodukowano mnóstwo, jednak żaden z nich nie wywołał takich emocji. Skąd zatem kontrowersje? W „Citizen Vigilante" główny bohater wygłasza tyrady o społeczeństwach Zachodu niszczących same siebie przez niekontrolowaną migrację. To właśnie ten ostry antyimigracyjny wymiar filmu sprawia, że liberalny mainstream tak wściekle go zwalcza. I to jest równocześnie źródło jego ogromnej siły.

Nagrodzenie odwagi

Popkultura od zawsze pełni funkcję społecznego lustra. Nie da się zrozumieć fenomenu „Citizen Vigilante" bez zrozumienia kontekstu, w jakim ten film powstał. To właśnie ów kontekst „odbija się" w najnowszej produkcji Uwe Bolla. Co go tworzy? Coraz bardziej niepokojąca rzeczywistość, w której, w imię źle pojętej poprawności politycznej, system niszczy poczucie bezpieczeństwa wielu europejskich społeczeństw. Przykłady można mnożyć. Valdo Calocane, imigrant z Rwandy cierpiący na ciężką schizofrenię, został zatrzymany za zniszczenie mienia. Komisja lekarska rozważała jego przymusowe leczenie w zamkniętym zakładzie. Ostatecznie jednak zastosowano wytyczne policji, które sugerowały unikanie aresztów wobec osób pochodzenia afrykańskiego. W rezultacie wolny Calocane pewnego wieczoru brutalnie zamordował dwójkę nastolatków oraz starszego mężczyznę. Kolejny wstrząsający przypadek dotyczy Henry'ego Nowaka. Ten osiemnastoletni student pierwszego roku rachunkowości wracał pieszo z imprezy w Southampton. Został bez powodu zaatakowany i pięciokrotnie pchnięty tradycyjnym sikhijskim nożem (kirpanem) przez 23-letniego Brytyjczyka sikhijskiego pochodzenia, Vickruma Digwę. Gdy na miejsce przyjechała policja, napastnik okłamał funkcjonariuszy, twierdząc, że sam padł ofiarą ataku na tle rasistowskim. Brytyjscy policjanci – bez jakiejkolwiek weryfikacji – uwierzyli w te słowa. Zamiast ratować wykrwawiającego się na chodniku nastolatka, zakuli konającego Henry'ego w kajdanki. Chłopak błagał o pomoc, krzycząc z ziemi, że został dźgnięty i nie może oddychać. Policjanci rzucali w jego stronę bezduszne: „Nie sądzę, kolego". Henry zmarł na miejscu zdarzenia. Najbardziej systemowy i przerażający obraz wyłania się jednak z oficjalnych dokumentów. Raport Ruperta Lowe'a z 2026 roku oraz trwające śledztwo rządowe (Independent Inquiry into Grooming Gangs) ujawniają skalę wieloletniego tuszowania zorganizowanego wykorzystywania seksualnego dzieci w Wielkiej Brytanii. Ofiarami tych przestępstw mogło paść nawet 250 tysięcy nieletnich. Instytucje publiczne, w tym policja i opieka społeczna, przez lata ignorowały zgłoszenia z obawy przed oskarżeniami o rasizm czy islamofobię. To jedynie kilka najgłośniejszych tąpnięć instytucjonalnych, które ostatnio ujrzały światło dzienne. Uwe Boll jest pierwszym reżyserem, który miał odwagę o tym opowiedzieć. Można krytykować jego film, a nawet z niego szydzić. Pozostaje jednak fundamentalne pytanie: dlaczego inni, znacznie bardziej utalentowani twórcy, omijają ten temat szerokim łukiem? Boją się gniewu mainstreamu czy środowiskowego ostracyzmu? Potrafię zrozumieć ludzki strach, jednak cechą prawdziwej sztuki powinien być nonkonformizm i odporność na ideologiczną presję. Boll się nie przestraszył i zbiera teraz tego owoce. Myślę, że wielu obrońców jego filmu doskonale zdaje sobie sprawę z jego warsztatowych braków. Nagradzają oni jednak nie samo dzieło, lecz artystyczną odwagę poruszenia kwestii, których inni dotknąć się boją. Mam nadzieję, że z czasem ta odwaga stanie się zaraźliwa. Liczę na kolejne produkcje – lepsze, bardziej etyczne, wyważone i sprawniejsze realizatorsko. Problemy społeczne, które sygnalizuje „Citizen Vigilante", prędko nie znikną. Czas, by sztuka i popkultura w końcu przestały odwracać od nich wzrok.

„Citizen Vigilante", reż.: Uwe Boll, wyst.: Armie Hammer, USA 2026. S

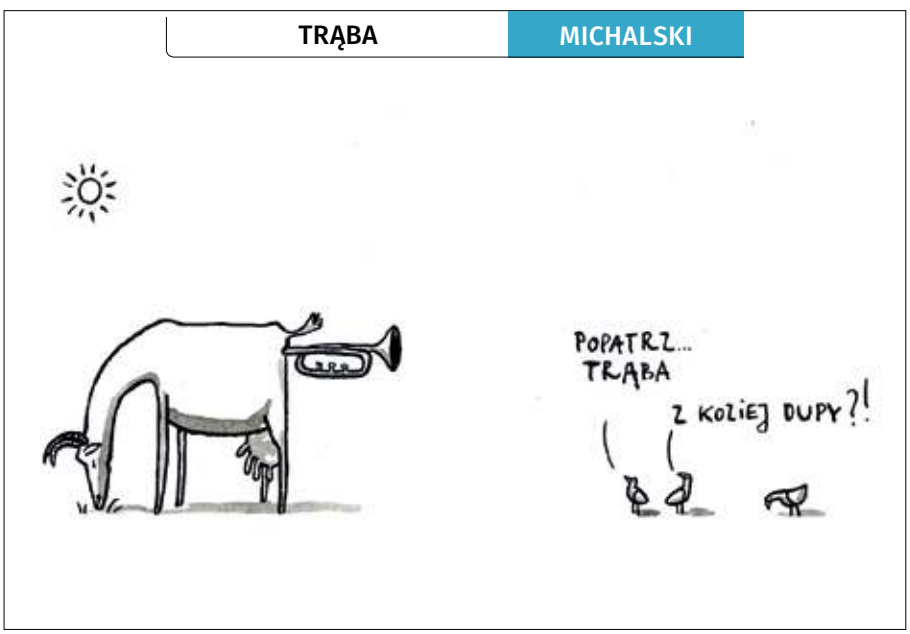

eprasa.pl 10f1732c5d



Piotr Skwieciński

Szczegół, który umknął

Gdy na początku XX wieku car Mikołaj spotkał się ze swoim kuzynem, kajzerem Wilhelmem, i pod wpływem jego perswazji nagle zdecydował, że Rosja stanie się sojusznikiem Niemiec, wśród urzędników petersburskiego ministerstwa spraw zagranicznych zapanował popłoch. Któryś z najważniejszych spośród nich ujął ich konsternację krótko, pisząc, że zawiązanie sojuszu z Berlinem oznaczałoby przecież zerwanie sojuszu z Francją – „szczegół, który najwyraźniej umknął uwadze Najjaśniejszego Pana".

Ten szczegół, który umknął, przypomniał mi się ostatnio, gdy czytałem, jakie to wnioski dla Polski wyprowadza naczelny „Do Rzeczy", Paweł Lisicki, z dotychczasowego przebiegu konfliktu w Zatoce.

„Utożsamienie wzrostu bezpieczeństwa Polski i stałej obecności żołnierzy USA jest niekwestionowanym dogmatem" – pisze Lisicki. „I to mimo tego, że kilka ostatnich miesięcy wojny na Bliskim Wschodzie uczy czegoś dokładnie odwrotnego. Ani gigantyczne zakupy amerykańskiej broni, ani miliardowe inwestycje w USA nie uchroniły szejków państw arabskich od katastrofy, czyli ataków irańskich. Ba, istniejące tam stałe amerykańskie bazy stały się pierwszym i głównym celem irańskich uderzeń. Nie odstraszały i nie zapewniały bezpieczeństwa, ale – przeciwnie – przyciągały ataki i podnosiły poziom ryzyka. [...] Wniosek jest prosty: zamiast polegać na rzekomo pewnym odstraszeniu, które zapewniają Stany Zjednoczone i obecność wojsk USA, Polska powinna prowadzić taką politykę, żeby w przypadku konfliktu Rosja – USA nie być pierwszym celem ataku Moskwy. Taki jest przynajmniej morał z niekończącej się wojny nad Zatoką Perską".

W tym niby to logicznym wywodzie jest jednak pewna luka. Pewien szczegół, który umknął.

Chodzi o to, że dążąc do zapewnienia sobie amerykańskiej obecności jako (jasne, że nie oczywistej i nie pełnej, nie „rzekomo pewnej", jak w złej wierze ironizuje Lisicki, ale lepszej niż brak jakiejkolwiek) nie tyle gwarancji, ile prawdopodobieństwa zyskania amerykańskiej pomocy przeciw Kremlowi, Polacy nie mieli przecież na myśli nieprawdopodobnej, a chyba sugerowanej przez Lisickiego sytuacji, w której staliby się mimowolnymi uczestnikami jakiegoś amerykańsko-rosyjskiego starcia w sprawie dla Polski abstrakcyjnej. O... tu trzeba puścić wodze fantazji, bo w zasadzie o co? O jakiś Wietnam, Uzbekistan czy Grenlandię?

Było (od początku istnienia III RP) i jest wręcz na odwrót, i Lisicki wie o tym przecież doskonale. Wszystkie polskie rządy, wspierane tu zawsze przez ogromną większość społeczeństwa, obawiały się, że to nasz kraj stanie się pierwszym lub niemal pierwszym przedmiotem rosyjskiej agresji, mającej na celu odzyskanie sfery wpływów Europy Środkowej. I zabiegały o to, żeby w tej rozpaczliwej sytuacji Amerykanie nam pomogli.

To determinowało i determinuje polskie myślenie o tych sprawach. A nie jakaś wrodzona miłość do Amerykanów czy do obcych baz. Polacy, którzy z różnych względów sugerują geopolityczną przewrotkę, zerwanie naszego kraju z zachodnim zespołem interesów, z reguły dokładają wielkich starań, żeby nie zauważać tego ogromnego słonia w salonie.

Kiedy przed pierwszą wojną światową zaczęły się pierwsze poważne rozmowy sztabowe między Francją a Wielką Brytanią, przyszły marszałek Ferdinand Foch, zapytany, ilu w końcu żołnierzy angielskich Francja chciałaby mieć na swoim terytorium już w pierwszym dniu konfliktu, odpowiedział: „W zasadzie wystarczy nam jeden, a my już potrafimy zadbać, żeby od razu zginął bohaterską śmiercią". Takie są mechanizmy wciągania sojuszników do wojny. Ich – do naszej wojny, bo to nam bardziej niż im zależy, żeby Warszawa nie stała się satelitą Moskwy.

To Lisicki przecież też wie.

Ale szczegół ma notoryczną tendencję do umykania.

eprasa.pl 10f1732c5d

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski



Walerian Bielecki, „Woda”

Rudy, jałowy pył

Nie dziwi, że na cudem ocalałych akwarelach z Powstania Warszawskiego dominuje kolor cegły.

Starożytni nie mieli na szczęście racji ze swoim *inter arma silent Musae*: nie jest tak, że sam status żołnierza uniemożliwia tworzenie. Owszem, podczas służby wartowniczej niełatwo pewnie skonstruować trzeci akt dramatu, niedokończone płótno kurzy się w okopie – znamy jednak tysiące tych, którzy jeśli nie w chlebaku, to w głowie nosili swoje sonety i gwasze – i, jeśli przeżyli, pokazali je światu.

Wielu zdołało też pokazać wojnę, walkę i bitwę: już pierwsze rysunki naskalne i reliefy, zaraz po polowaniu na tury, pokazują nam wojowników, i ten zamiar utrwalenia jednego z podstawowych (niestety) ludzkich doświadczeń widać na fryzach Partenonu ukazujących walkę z Amazonkami i na płótnie „Grunwaldu” Matejki. Owszem: jest to wszystko mocno wyidealizowane: trzeba było Ottona Dixa, żeby pokazać, jak wygląda inwalida po Verdun, trzeba było amerykańskich filmów ukazujących Wietnam w tonacji *noir*, żebyśmy zrozumieli, czym jest postrzał w brzuch.

Wyzwaniem dla artysty nie jest bowiem sama wojna i walka: jest nim ukazanie bezbronnego cierpienia. Może dlatego tak niewiele jest wiernych, poruszających świadectw plastycznych łagrów i obozów koncentracyjnych, i oblężonych miast? Nawet ci, którzy przeżyli i zachowali zdolność tworzenia, zostawiają nam najczęściej poprawne, ołówkowe szkice i nie żałują kartce ciepłej ochry o barwie skórki chleba, jakby chcieli zadośćuczynić głodującym.

Przed tym wyzwaniem stanął również Walerian Bielecki – absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, a w czasie wojny – członek AK ps. „Inżynier Jan”, w Powstaniu – żołnierz Zgrupowania „Krybar” i projektant słynnego „Kubusia”. Po Powstaniu trafił do stalagu Fallingbostel – i to tam dopracował lub stworzył kilkanaście zachowanych do dziś rysunków.

Ich losy były dramatyczne: samo ich powstanie zawdzięczamy, no cóż, ostrzałowi miasta i inicjatywie artysty: „Rozbite wnętrze i wystawy sklepowe, w oknach wystawowych osłony przed pociskami i odłamkami, wykonane z tego, co było w sklepie: bloki rysunkowe, [...], zeszyty, pudełka ołówków, cyrkle, linijki i inne skarby prawdziwe dla malarza i technika, zsunięte w sterty, tworzyły w wystawach swoistą osłonę – barykadę. [...] Wracając kiedyś z placówki na poczcie głównej na kwatery przy Szpitalnej 5, wstąpiłem olśniony tymi skarbami, zabrałem sobie notatnik i blok rysunkowy, komplet akwarel, kilka pędzli i ołówków” – wspominał Bielecki. To, co udało się naszkicować i podmalować, przez kilkadziesiąt lat spoczywało najpierw wśród pamiątek, potem – w magazynach Muzeum Wojska Polskiego w Białymstoku, gdzie trafił Walerian Bielecki po przymusowym wysiedleniu (za przynależność do AK) z Warszawy. Po raz pierwszy pokazano te rysunki publicznie przed dwoma laty na wystawie w Białymstoku: teraz trafiły do stolicy.

Patrzę na nie bez taryfy ulgowej, zastanawiam się, ile udało się w nich przekazać prawdy o 63 dniach Powstania, ile w nich podmalunku?

Widać, że szkicował je architekt, którego bardziej interesuje bryła niż linia i cień: sylwetki są zwarte, wręcz kanciaste, wyglądają trochę, jakby zeszły z ekranu „Minecrafta”; nawet odłamki eksplodującego za plecami żołnierza pocisku układają się wachlarzowato, jak w panneau. Niektóre z akwarel (na przykład „Oczekiwanie na zrzuty”) to dobre kolorystycznie, dramatyczne impresje (ciemnobrunatne tło, esowaty zygzak ognia) – widać jednak, że zostały skomponowane w głowie. Poruszająca jest „Woda” (wrześniowa kolejka do ulicznej studni): świetnie zostały oddane typy ludzkie, okupacyjna moda (sakpalto), ba, uczesania (blond loki wymykające się spod chustki) – całość jednak, mimo bandaża na czole kobiety, mimo płaczu dziecka, wydaje się zbyt ugrzeczniona i wielobarwna: tęsknota za zwycięstwem (a może po prostu za kolorem?) zdmuchnęła z twarzy i ubrań sadzę.

Cenny dokumentacyjnie jest, zapisany z błędem ortograficznym, „Transport pszenicy” (tu też widać makijaż i jesionkę czasu wojny),

eprasa.pl 10f1732c5d

zwracają uwagę pełne ekspresji, najlepsze chyba plastycznie „Bomby fosforowe": gaszenie pożaru dachu na tle czarnego nieba. Ale najbardziej daje do myślenia inna akwarela, podpisana po prostu „Sierpień 1944" (w innych wariantach „Powiśle. Rekonesans kapitana Krybara"). Za płytką barykadą kilku żołnierzy patrzy w głąb zupełnie pustej ulicy. Jest to chwila przed świtem albo po zmierzchu: wszystko oświetlone jest łagodnym światłem, przefiltrowanym przez pył ze zmielonych bombami domów. Pełne spektrum różu, rudości, brązu, aż po ciepłą szarość.

Wszystkie linie – krawężników, okalającego ulicę muru, rozmytych chmur – zbiegają się w jednym punkcie na horyzoncie, jak uczyli w XV-wiecznej Florencji Brunelleschi i Piero della Francesca. Oto Warszawa, „miasto idealne" w szóstym roku wojny: pustka, dom bez okien i kilka oprószonych rudo ułomków cegieł.

„Walerian Bielecki. Sztuka dokumentu. Powstanie Warszawskie", Instytut Pileckiego, Warszawa, ul. Sienna 82, 29 lipca – 10 października 2026 r. Kurator – Karolina Kulyk.



Fot. Paweł Czarnecki

Maurice Denis, „Plamy słońca na tarasie", Muzeum Łazienki Królewskie

Oranżowe słońce

Jak można zniechęcić do każdej opowieści o malarstwie? Zacząć od „izmów". Jeden „-izm" jeszcze da się znieść, ale siedem? Gorszy może być tylko tuzin nieznanych i trudnych do wymówienia nazwisk.

A tymczasem trochę nie ma wyjścia, bo Paul Sérusier, Édouard Vuillard, Ker Xavier Roussel i ich towarzysze znaleźli się dokładnie na rozdrożu – czy może raczej w kipieli – wszystkich napięć, jakie rodził w sztuce nadchodzący XX wiek. Za nimi był impresjonizm, jeszcze dalej – naturalizm, ich zaś coraz bardziej pociąga to, co za chwilę stanie się koloryzmem, stają się prekursorami symbolizmu, fascynuje ich (przynajmniej niektórych) mistycyzm...

Nie, spróbujmy inaczej. Zacznijmy od jednego z dwóch „założycielskich" dla całej formacji obrazów, od szczęśliwie przywiezionej do Warszawy z paryskiego Musée d'Orsay „Plamy słońca na tarasie" Maurice'a Denisa. Kontur, niemal wycinanka: grubo kładziona farba, wrzący oranż jak lawa. To nie jest wierny wizerunek rozgrzanego w letnim słońcu tarasu: to **doznanie** tarasu, tak mocne, że czuć prawie zapach żywicy, skwar, znużenie postaci (a może to południca?) w strudze słońca. I kolejne tła są równie płaskie i bezkompromisowe: wyblakły błękit, zduszona zieleń.

No tak, byli uczniami impresjonistów – w pierwszym rzędzie Gauguina – ścigając, tak jak oni, tylko jeszcze odważniej, swoje wrażenie (czyli impresję, doznanie). Otwarli drzwi (chociaż, czy naprawdę byli sprawcami, czyli po prostu niosła ich ogromna, wznosząca się fala?) fascynacji czystym kolorem. Abstrakcji. Deformowaniu figur. Więc tuż za nimi cisną się młodsi bracia: fowiści, abstrakcjoniści, kubiści... Oni sami – pełniący rolę wizjonera i założyciela Paul Sérusier, najbardziej chyba konsekwentny Denis, najsławniejszy (choć często później zmieniał styl) Pierre Bonnard czy mnie chyba najbliższy Félix Vallotton – nazwali się „nabistami".

Było w tym wiele nader paryskiego zadęcia, rozpoczynającej się już wiary w „kapłaństwo sztuki", we wtajemniczenie, dane twórcy – wiary, która może wzruszać, kiedy myślimy o wyznających ją młodzieńcach w tużurkach, która tak irytująca bywa u współczesnych, wypowiadających się na każdy temat artystów. Bo, jak uczy każdy podręcznik, „nabi" to po hebrajsku (ale i arabsku) „prorok". I po tę właśnie rolę sięgali poszukiwacze barwy i (jak zatytułował z kolei swoje założycielskie płótno Sérusier) „Talizmanu".

Jak rozczulająco byli w tym paryscy twórcy! Świetnie pokazuje to wystawa w Łazienkach, przywołując i założony przez nich (dwu)miesięcznik „La Revue blanche", i rodzącą się wówczas sztukę plakatu ulicznego, który współtworzyli. Tak, marzyli o wtajemniczeniu, malowali Buddę na tle liści lotosu i alegorie Kościoła – ale co drugi salon z pretensjami zdobi dziś reprodukcja musującego plakatu „France – Champagne" pędzla Bonnarda. Orient i tużurki, i policzkowanie burżuazji, i mocny kontur, i japońszczyzna, i grubo kładzione farby, i śpiące kobiety, i krzyczące kolory, i Misia Sert...

Nie musimy zapamiętywać wszystkich „-izmów", wystarczy może „modernizm". Moderna – jak mawiano wówczas z nabożnym szacunkiem w Krakowie i w Warszawie. I Władysław Ślewiński, i Stanisław Wyspiański zapatrzeni byli w nabistów – i na szczęście również ich płócien nie zabrakło na wystawie.

„Nabiści. Prorocy nowej sztuki", Muzeum Łazienki Królewskie, Warszawa, 16 lipca – 15 listopada 2026 r. Kuratorzy – Ewa Bobrowska, Jean-René Saillard.

eprasa.pl 10f1732c5d

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Mamy dziś na zdjęciu 2022 rok, tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie.

Tomek: – Spotkałem wówczas wolontariuszki. Zbierały datki, które miały być przeznaczone na potrzebne Ukraińcom na froncie rzeczy. Zapamiętałem imiona dwóch. Ola miała wówczas 13 lat. Dałem jej mandarynki, a ona powiedziała, że będą dla mamy i brata. Jej brat miał wtedy 4 lata.

– A druga wolontariuszka?

– Ewa. Miała 17 lat. Mama służyła w oddziałach specjalnych, a tata był pilotem helikoptera. Nadal mam z nią kontakt, spotkałem ją niedawno. Teraz pracuje na lotnisku i studiuje w Warszawie.

– Wolontariuszy było wówczas jednak o wiele więcej, prawda?

– Tak. W sumie przewinęło się w tamtym miejscu kilkadziesiąt osób. Byli też Białorusini. Staliśmy często w kręgu i rozmawialiśmy o ich sytuacji. Chętnie im pomagałem.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 10f1732c5d



Fot. arch. „S”

Jak działała Stocznia Gdańska?

Stocznia Gdańska to nie tylko gigantyczny zakład przemysłowy, w którym wodowano oceaniczne statki i wprowadzano pionierskie rozwiązania inżynieryjne. To przede wszystkim kolebka wolności, miejsce heroicznej walki o godność człowieka oraz przestrzeń, w której wykuwały się losy powojennej Europy.

Konrad Wernicki

SERCEM GDAŃSKIEGO ZRYWU WOLNOŚCIOWEGO BYŁA TĘTNIĄCA ŻYCIEM stocznia – zakład przemysłowy stanowiący wręcz osobne mikromiasto. Aby w pełni zrozumieć fenomen Sierpnia ’80, warto spojrzeć na niego przez pryzmat codziennej pracy, techniki i potęgi inżynieryjnej dawnej Stoczni Gdańskiej. Fundacja Promocji Solidarności serdecznie zaprasza grupy zorganizowane, wycieczki szkolne, pasjonatów historii oraz turystów z całej Polski i świata do udziału w autorskim programie zwiedzania terenów postoczniowych oraz Muzeum Sali BHP pod opieką doświadczonego przewodnika.

Na szlaku wolności i przemysłu okrętowego

Podczas fascynującego spaceru przewodnik przeprowadzi Państwa przez najważniejsze punkty historyczne i architektoniczne dawnego zakładu. Podróż rozpoczyna się na Placu Solidarności, przy majestatycznym Pomniku Poległych Stoczniowców 1970 upamiętniającym tragiczne wydarzenia Grudnia ’70, które stały się moralnym i społecznym fundamentem późniejszego zrywu. Trasa prowadzi wprost do miejsca samotnej modlitwy Ojca Świętego Jana Pawła II z 1987 roku, przypominającego o duchowym wsparciu papieża Polaka dla strajkujących i prześladowanych robotników.

Przechodząc obok dawnego muru stoczniowego, uczestnicy docierają do historycznej Bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej – prawdziwej ikony walki o prawa pracownicze i wolność słowa. Z myślą o pełnej dostępności na trasie udostępniono również specjalną makietę dla osób z dysfunkcją wzroku pozwalającą poznać przestrzeń stoczniową poprzez dotyk.

Dalsza część spaceru wiedzie reprezentacyjną promenadą „Drogi do Wolności” oraz wśród wybranych obiektów Młodego Miasta i kultowego Szlaku Stoczni Cesarskiej. Przekraczając most, można z bliska przyjrzeć się współczesnym i dawnym zakładom działającym na terenach postoczniowych, poznając kulisy dawnej produkcji, skalę budownictwa okrętowego oraz ewolucję technologiczną gdańskiego przemysłu.

Odbudowa pamięci i narodowe dziedzictwo

Podejmując się zadania próby odbudowy dawnej Izby Pamięci Stoczni Gdańskiej, Fundacja Promocji Solidarności osiąga dwa równoległe cele. Pierwszym z nich jest ratowanie eksponatów o znaczeniu wyjątkowego dziedzictwa kulturowego dla historii przemysłu stoczniowego w Gdańsku, ale i samej Stoczni, która z powodu przemian dziejowych, prawnych i gospodarczych stopniowo znikała z pejzażu konstytuującego tożsamość miasta. Drugim celem jest zachowanie żywej pamięci o ludziach, myśli inżynieryjnej oraz etosie pracy.

Rezerwacja wycieczek

Tej żywej lekcji historii i techniki można doświadczyć w miejscu, w którym wykuwała się wolna Polska. Na stronie salabhp.pl/rezerwacje można zarezerwować dogodny termin wycieczki z przewodnikiem dla grup szkolnych, dorosłych, wycieczek zakładowych oraz gości z zagranicy.

eprasa.pl 10f1732c5d



Proj. K. Karnkowski

W stronę NAGOŚCI

Ludzie! Czy nie wiecie, że już starożytni Egipcjanie używali luster? Mam wrażenie, że to **zapomniany wynalazek** w sytuacjach, gdy w miastach temperatura wzrasta ponad 25 stopni, a nie daj Boże powyżej 30. Wtedy dress code obowiązujący w miejskich przestrzeniach publicznych przestaje obowiązywać.

Monika Małkowska

Nie tylko młodzi odpuszczają sobie stroje miejskie, także seniorzy uważają, że looseness is cool w ekstraordynaryjnych temperaturach. I oto bez względu na wiek, tuszę i urodę wielkomiejska ludzkość wywala się na ulice w przyodziewku, który jeszcze ćwierć wieku temu uchodził tylko na Bahama Beach, ewentualnie w kalifornijskich klubach za okazaniem złotej karty. Jak to się stało, że straciliśmy

eprasa.pl 10f1732c5d

poczucie wstydu za nasze obnażone ciała, w nieco bardziej zaawansowanym wieku rażąco nieestetyczne? Dlaczego co roku na śródmiejskich traktach dużych miast przybywa staruszków obnoszących się z gołymi, obwisłymi torsami i krzywymi, kudłatymi kończynami dolnymi wystającymi z za obszernych szortów? Z drugiej strony – młodzi też jakby stronili od lustrzanej samooceny: coraz więcej tłustych panienek uważa za dopuszczalne publiczne demonstrowanie fałd sadła wyciskanych z mini szortów i staniczko-gorsecików. Kto wmówił tym osobnikom, że „inkluzywność" polega na uzewnętrznianiu swych cielesnych mankamentów wszem wobec? Tak, wiem, że współczesne psychoterapeutyczne trendy starają się wyeliminować poczucie wstydu na każdym polu: bądź dumny ze swych ułomności fizycznych, bo... będzie ci z tym lepiej. Nieprawda. Skrępowanie nagością – nawet w przypadku osób superatrakcyjnych – to również naturalne, normalne emocje.

Rodowód golizny

Zacznę od Adama i Ewy: biegali po raju nadzy i radośnie nieświadomi braku przyodziewku. Tak obwieszcza nam Księga Rodzaju (II, 25). A gdy za nieposłuszeństwo Pan Bóg pokarał ich wstydem, usiłowali pozasłaniać sobie to i owo przy pomocy liści figowych. Kto ma choćby najmniejszą wiedzę drzewoznawczą (w razie braku tejże polecam spacery dendrologiczne pod auspicjami Marty Cienkowskiej, obecnej ministry kultury), ten wie, że figowce mają liście pięciodzielne, rozczapierzone jak palce dłoni. Istotne podobieństwo – właśnie otwartą dłonią automatycznie, instynktownie przysłaniamy sobie miejsca intymne, gdy ktoś przyłapie nas w dezabilu. To nasi biblijni rodzice zapoczątkowali figową modę, o której pamięć przetrwała do dziś w postaci maksymalnie zminimalizowanych damskich majteczek zwanych figami. Wracając do przeszłości, nawet najbardziej (w naszych wyobrażeniach) purytańskie wieki średnie dopuszczały sytuacje, gdy kobiety i mężczyźni paradowali nago – dość blisko siebie. Kiedy? W przybytkach zwanych łaźniami. Budowano je często obok piekarni, żeby wykorzystać ciepło z pieców do podgrzewania wody. W gotyku takie kąpiołki były popularnymi i – o dziwo! – demokratycznymi miejscami kultywowania higieny, a zarazem terenami spotkań towarzyskich i rozrywki. Największe ośrodki kulturalne, jak Kraków, Londyn, Florencja czy Paryż (gdzie właściciele łaźni założyli własny cech), szczyciły się dziesiątkami łaźni, w których różne warstwy społeczne spotykały się, rozmawiały, a następnie korzystały z takich przyjemności, na jakie było je stać. Niektórzy pili wino i posilali się wykwintnym jedzeniem plus luksusami, jak kąpiele w gorącej wodzie i parze, następnie polegiwali na łożach służących relaksowi po ablucjach. I znów coś zaskakującego: w Niemczech funkcjonował tzw. dodatek łaziebny, który stanowił stałą część wynagrodzenia – jak współcześnie bon od firmy na siłownię. A biednych w ogóle zwalniano z opłat za wstęp do łaźni.

KTO WMÓWIŁ LUDZIOM, ŻE „INKLUZYWNOŚĆ" POLEGA NA UZEWNĘTRZNIANIU SWYCH CIELESNYCH MANKAMENTÓW WSZEM WOBEC?

Na pohybel czyścioszkom

Władze kościelne często potępiały koedukacyjne myjnie jako siedliska grzechu i nierządu, bo wypada wspomnieć o jeszcze jednej funkcji łaźni miejskich: służyły jako domy schadzek. Zamożne panny, a nawet mężatki chadzały kąpać się trzy, cztery razy dziennie, „spędzając większą część dnia na śpiewach, piciu i tańcach" – jak w 1414 roku relacjonował florentyński pisarz i podróżnik, niejaki Gianfrancesco Poggio, zgorszony swobodą łaziebnych obyczajów w Niemczech i Szwajcarii. Tamże „kobiety wchodzą i wychodzą z wody nagie, jak je Pan Bóg

TO NASI BIBLIJNI RODZICE ZAPOCZĄTKOWALI FIGOWĄ MODĘ, O KTÓREJ PAMIĘĆ PRZETRWAŁA DO DZIŚ W POSTACI MAKSYMALNIE ZMINIMALIZOWANYCH DAMSKICH MAJTECZEK ZWANYCH FIGAMI.

eprasa.pl 10f1732c5d

stworzył, i widoczne dla wszystkich". Ten swobodny styl życia odszedł w niebyt w efekcie rozprzestrzeniania się różnych chorób, od wenerycznych po dżumę. Nawet bez dowodów empiryczno-naukowych skumano, że przebywanie w bani, w wieloosobowych bliskich kontaktach fizycznych powiększa ryzyko zarażenia się różnym paskudztwem. Od renesansu kąpiele stały się doznaniem dostępnym wyselekcjonowanej społecznej grupie, a w wannach, będących intymnym luksusem dostępnym tylko najbogatszym, siedziały co najwyżej dwie osoby. Dla przykładu – jeden z najsłynniejszych obrazów świata, pochodzący ze szkoły Fontainebleau, z końca XVI stulecia: manierystyczny wizerunek Gabrielle d'Estrées, kochanki króla francuskiego Henryka IV, oraz jej siostry, siedzących w wannie „wymoszczonej" prześcieradłem (marmur był za zimny). Obie damy są w dezabilu, choć ukazane tylko do pasa. Wzrok przyciągają ich jędrne, regularne jak stożki piersi, do tego misterne fryzury i upiększający makijaż (wybielona cera, to i owo podkreślone barwiczką). Taki wanienno-królewski szpan.

Powrót do raju

Myślicie – powrót do Edenu jest współcześnie niemożliwy? Tymczasem pod koniec lat 60. XX stulecia byli tacy, którzy zadeklarowali paradyz na ziemi. Bez przełamywania siódmej pieczęci, bez grzmienia siedmiu trąb ani Sądu Ostatecznego. A nawet – odrzucając wiarę w Boga. Hippisi, najbardziej „wyzwoleni" ludzie na Zachodnim Wybrzeżu USA, ogłosili nienoszenie ubrań za najbardziej awangardową modę. Jasne, sprzyjał im klimat, ale nade wszystko – przyświecała antyestablishmentowa ideologia. Odrzucenie ciuchów równało się protestowi przeciwko dotychczas obowiązującym, konserwatywnym normom społecznym. Negowano coś, co powszechnie uważano za „przyzwoitość". To nie wszystko – lansowana przez hippisów nagość pokazywała „f*cka" reklamie i popkulturze, w latach 60. nabijających kasę dzięki coraz to szybszym zmianom modowych stylów i napędzaniu sprzedaży w branżach związanych z wyglądem. I jak to wśród młodych – byli wśród nich tacy, którym nudyzm w miejscach publicznych dawał frajdę na zasadzie szokowania. Ale niektórzy uważali brak stroju za stan o głębokim duchowym znaczeniu. Tym chodziło o to, by „genitalia straciły specjalne znaczenie, ponieważ gdy ludzie przestaną je ukrywać, przestaną uważać je za brudne i grzeszne". Jednak obnażone ciała trzeba było czymś „zagospodarować", jako że stały się czymś w rodzaju „pustych płócien". To wtedy zaczął się trend malowania na skórze różnych haseł, często pacyfistycznych (przeciwko zbrojeniom atomowych, wojnie w Wietnamie, apartheidem w RPA) lub słodkich obrazków z kategorii „peace & love", z wykorzystaniem psychodelicznych wzorów i kwiatów. Z biegiem lat efemeryczne malunki przekształciły się w trwałe tatuaże. Dziś z trudem można spotkać osobę bez bodaj najmniejszego tatuażu na obojętnej części ciała – ale to zupełnie inna historia.

> ODRZUCENIE CIUCHÓW RÓWNAŁO SIĘ PROTESTOWI PRZECIWKO DOTYCHCZAS OBOWIĄZUJĄCYM, KONSERWATYWNYM NORMOM SPOŁECZNYM. NEGOWANO COŚ, CO POWSZECHNIE UWAŻANO ZA „PRZYZWOITOŚĆ".

Narkonagość

Wracając do naked-trendu: kilka ważnych popkulturowych wydarzeń utrwaliło ten kierunek. Objawieniem był „Hair", musical z 1967 roku, rok później przeniesiony z ogromnym sukcesem na Broadway, gdzie po raz pierwszy pojawiła się na scenie (i wśród publiczności) całkowita nagość, bez tradycyjnych baletowych trykotów. I poszło! W 1969 roku ukazał się na ekranach kultowy film w reżyserii Dennisa Hoppera „Easy Rider" (w Polsce czekano na ten legendarny obraz aż do roku 1982) o dwóch motocyklistach przemierzających Stany na motorach marki Harley-Davidson, którzy (przemycając supertowar, czyli kokainę z Meksyku do LA) trafiają do komuny hippisów – a tam żadne stroje nie obowiązują. W tym samym 1969 roku, w sierpniu, odbył się słynny festiwal Woodstock, „trzy dni pokoju i muzyki". Na błotniste pole w Bethel w stanie Nowy Jork (w tym czasie spadały intensywne, niemal tropikalne deszcze) z całej Ameryki ściągnął niemal milion fanów rocka, powodując zatrzymanie ruchu ulicznego. Ech, łza się w oku kręci na wspomnienie cen biletów: 18 dolarów w przedsprzedaży i 24 USD w dniu koncertów... To jednak i tak dla niektórych było „za wiele". W dniu zero tłum sforsował ogrodzenia, wobec czego organizatorzy ogłosili, że wejście na koncerty jest

eprasa.pl 10f1732c5d

gratis, co zaowocowało szturmem kolejnej fali zainteresowanych. Podczas tego wydarzenia dzielono się dragami jak kanapkami, a nagość uchodziła za coś naturalnego. Co zabawne – Woodstock zainspirował modę na „błotniste" festiwale w Wielkiej Brytanii z pierwszej dekady lat dwutysięcznych. Najważniejszym elementem obowiązującego na nich stroju były miniszorty (najlepiej z obciętych jeansów) oraz... kalosze firmy Hunter, nawet jeśli akurat dopisywała pogoda. Poza tymi detalami „koncertowy" strój to jak najwięcej odsłoniętego ciała, jakie by ono nie było.

Gorszące pływanie

Teraz o innej modzie, z którą wiąże się obnażanie cielesne – na kąpiele u wód. Ten trend zaczął się pod koniec XVII stulecia, kiedy uwierzono, że woda morska posiada niezwykłe własności lecznicze, pozwalające pozbyć się takich dolegliwości jak gruźlica, impotencja, problemy menstruacyjne czy melancholia. Jednak szczyt tej mody przypadł na wiek XIX. Jednocześnie, było to apogeum purytanizmu. Symbolem surowej moralności stała się brytyjska monarchini Wiktoria. Wtedy to damskie ciała, choć w sytuacjach rekreacyjnych, pozostawały całkowicie okryte: na głowach – kapelusze, dalej suknia kąpielowa z długimi rękawami, pod nią pończochy zakrywające nogi, na stopach trzewiki. Co więcej, materie, z jakich wykonywano te kostiumy, należały do ciężkich i nieprzezroczystych, jak flanela, len czy wełna. Jakby nie było dość, niektóre kobiety wszywały w rąbki sukien kąpielowych ołowiane ciężarki, żeby tylko jakaś frywolna fala nie uniosła stroju do nieprzyzwoitej wysokości, gorsząc świadków, zwłaszcza płci męskiej. I jak w tym pływać? Mimo to popularność sportów wodnych rosła. Pływanie włączono do igrzysk olimpijskich w 1896 roku, ale kobiety dopuszczono do rywalizacji dopiero w 1912. Wtedy to panie podczas zawodów pływackich wystąpiły w obcisłych kostiumach, co zapoczątkowało lawinę zmian w pozasportowej modzie plażowej. Po I wojnie światowej, kiedy wszystkie stare zasady legły w gruzach, zapomniano także o niewieścim wstydzie. Panie zaczęły pokazywać się w jednoczęściowym, jakby męskim trykotowym kostiumie (chłopczyce!), obnażając nogi i ramiona. Około roku 1935 na modową arenę (głównie za sprawą gwiazd ekranu) wkroczył kostium dwuczęściowy, złożony z majtek z wysokim stanem i stanika przypominającego dzisiejszy top. I właśnie takie plażowe odzienie – awangarda i świadectwo odwagi 90 lat temu – obecnie uznano za przyodziewek akceptowalny w centrum miast, gdy sezon sprzyja.

> „GENITALIA STRACIŁY SPECJALNE ZNACZENIE, PONIEWAŻ GDY LUDZIE PRZESTANĄ JE UKRYWAĆ, PRZESTANĄ UWAŻAĆ JE ZA BRUDNE I GRZESZNE".

Atomowe bikini

Kilka miesięcy po wybuchu bomby nuklearnej w Hiroszimie i Nagasaki w modzie też doszło do eksplozji, niwelującej dawne kanony estetyczno-aksjologiczne. W 1946 roku francuski projektant Jacques Heim zaproponował dwuczęściowy damski kostium kąpielowy, który wciąż zakrywał pępek, ale poza tym – niewiele. Designer nazwał go Atome i sama nazwa najlepiej świadczy o skali jego nowatorstwa. Nic to jednak wobec niewiele późniejszego (choć z tego samego 1946 roku) projektu inżyniera Louisa Réarda, który strój plażowy dla pań sprowadził do czterech trójkątów materiału połączonych sznurkiem. Autor nazwał go „bikini", nawiązując do atolu Bikini na Oceanie Spokojnym, gdzie owego roku przeprowadzano próby z bronią jądrową i detonację bomby wodorowej. Projekt Réarda budził wówczas zgorszenie i wywoływał wielki opór wśród płci pięknej. Nawet nie chciano go reklamować, a mało która pani odważała się nosić bikini publicznie. Dopiero występ Brigitte Bardot w filmie „I Bóg stworzył kobietę" (1957), w którym francuska piękność pojawia się w bikini, zapoczątkowało szaleństwo tej plażowej mody. W 1964 roku bikini jeszcze bardziej zminimalizowano do... jednego kawałka, w wersji zwanej monokini (bikini topless), co potępił Watykan. Ale moda i obyczaj na każde ekstremum odpowiada negacją. I tak reakcją na niemal maksymalny negliż stały się kostiumy jednoczęściowe, zabudowane, z elastycznej tkaniny, lecz z fiszbinami unoszącymi biust, wspaniale modelujące sylwetkę. Są nadal w obiegu. Przypominają nieco dawne gorsety i trochę też taką funkcję pełnią: wyszczuplają, zakrywają lub obnażają to, co trzeba. Taka plażowa arystokratyczna elegancja. Jednak przeniesiona w wielkomiejski kontekst gubi swoje herby, nawet w najgorętsze dni. A w wielu przypadkach – zatraca również swe sexy atuty.

eprasa.pl 10f1732c5d

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **4 SIERPNIA** zdarzyło się:

2005 – w mieście Szefaram na północy Izraela dezerter z armii izraelskiej Eden Natan-Zada otworzył ogień z pokładu autobusu, zabijając 4 izraelskich Arabów (2 chrześcijan i 2 muzułmanów) i raniąc 22 innych. Gdy przeładowywał broń, został obezwładniony i zlinczowany przez świadków.



Fot. Adobe Stock

NAJDZIELNIEJSZY z rycerzy kresowych

Wszystko zaczęło się przed południem. Do dworu zbliżało się od wsi chłopstwo ciągnące za zbolszewizowanym oddziałem, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wojskowi pierwsi uderzyli. Zaczęła się walka na śmierć i życie z polskimi obrońcami dworu. Bito się o każdy pokój, a drzwi stanowiły kolejne barykady pokonywane przez chłopską czerń i wojskowych. W końcu przed zmrokiem trzeba było ustąpić. Obrońcy **nie mieli szans** na odparcie agresorów.

Sebastian Reńca

O zmroku udało się rodzicom moim wydostać bocznym wyjściem z ostatniego pokoju, którego drzwi już trzeszczały pod naporem ramion, i uciec niepostrzeżenie dzięki zapadającym ciemnościom. Za nimi podpalono dom. Odjeżdżając, widzieli zagładę całego mienia, pamiątek, wieloletniej pracy, wszystkiego... – pisała Zofia Kossak-Szczucka w „Pożodze".

Z folwarku zostały tylko osmolone mury, rolnicze narzędzia zniszczono, zwierzęta: krowy, cielęta i świnie, zaszlachtowano na środku dziedzińca. Prawosławni i bezbożnicy sprofanowali kaplicę stojącą w parku. Deptano, rozrywano komże i chorągwie, zakładano ornaty, a kielichy wpychano za pazuchy. Obraz Matki Boskiej rzucono na ziemię,

eprasa.pl 10f1732c5d

pozbawiwszy go najpierw złoconych ram.

„Tego dnia śmierdzące buty żołnierzy i chłopów przeszły boleśnie po moim sercu, depcząc wszystko, co wiązało drogą nitkę wspomnień między mną a odległym dniem mego dzieciństwa" – konstatowała pisarka.

Zniszczyć co polskie

Zawierucha lat 1917–1919, gdy Europa wciąż krwawiła nie tylko z powodu wojny światowej, ale również rewolucji bolszewickiej, spowodowała, że bezkarność chłopstwa wspieranego przez zbolszewizowanych dezerterów oraz komunistyczne wojska doprowadziła do licznych pogromów, które przetaczały się przez Wołyń i były swoistym preludium do tego, co stało się na tamtej ziemi latem 1943 r.

Z premedytacją i sukcesywnie niszczono dwór po dworze. Ich mieszkańcy mieli szczęście, jeżeli udało im się uciec do najbliższego miasta. Polskość tamtych ziem miała iść w zapomnienie, miała zniknąć wraz ze zgliszczami i popiołami rozwianymi przez wiatr. Polacy mieszkający tam od pokoleń byli znienawidzeni przez miejscowych ukraińskich chłopów i ta sama nienawiść wcale nie objawiła się dwie dekady później z niczego. Jej zapowiedzią była właśnie pożoga opisana przez Kossak-Szczucką oraz liczne wystąpienia Ukraińców przeciwko Polakom i polskiej władzy, w tym zamachy terrorystyczne, których doświadczyła odrodzona Rzeczpospolita w dwudziestoleciu międzywojennym.

Wówczas, w tamtych latach wojennej i powojennej zawieruchy, jedynym biczem bożym na ukraińską czerń i bolszewickie oddziały był porucznik Feliks Jaworski.

Jaworski i Jaworczycy

„Jaworski powstrzymał w sześciu miejscach pogrom... Jaworski rozbił dwie bandy chłopów... Jaworski pomógł wyjechać z rzeczami i dobytkiem dziesięciu rodzinom... Jaworski ocalił życie tamtym... zwrócił inwentarz zagrabiony tym..." – pisała Zofia Kossak-Szczucka, dodając: „Nazwisko Jaworskiego, do niedawna nikomu nieznane i nic niemówiące, zaczęło nagle rosnąć, rozbrzmiewać i nabierać tego specjalnego dźwięku, z jakim przez dwa lata następne każdy mieszkaniec Wołynia miał wymawiać słowa: Jaworski i Jaworczycy. Jaworski na strasznym Podolu, wśród całej pełni chłopskiego powstania, ratuje dwory i obywateli...".

O FELIKSIE JAWORSKIM WIEMY NIEWIELE, NAJWIĘCEJ WŁAŚNIE Z „POŻOGI". PRZYSZŁA AUTORKA „KRZYŻOWCÓW" UWAŻAŁA, ŻE PARTYZANCI NIE BYLIBY SOBĄ, GDYBY NIE MIELI JAWORSKIEGO, ON SAM ZAŚ BYŁBY NIKIM BEZ NICH.

Feliks Jaworski urodzony w 1892 r. wojaczkę miał we krwi. Gdy wybuchła wielka wojna, potem nazwana pierwszą, studiował agronomię w Kamieńcu Podolskim. Szybko zrezygnował z nauki i na ochotnika wstąpił do rosyjskiego 12. Pułku Huzarów, walczył na froncie niemiecko-austriackim. Po ukończeniu szkoły kawalerii otrzymał nominację na podporucznika, a wkrótce został porucznikiem. Od kwietnia 1917 r. służył w Polskim Szturmowym Szwadronie Huzarów. Po załamaniu się frontu aż do wiosny 1918 r. walczył z bandami bolszewickimi i chłopskimi.

O Feliksie Jaworskim wiemy niewiele, najwięcej właśnie z „Pożogi". Przyszła autorka „Krzyżowców" uważała, że partyzanci nie byliby sobą, gdyby nie mieli Jaworskiego, on sam zaś byłby nikim bez nich. Ten dwudziestokilkuletni mężczyzna „o zamkniętej twarzy i niewielkich, migotliwych oczach" posiadał ogromną władzę nad swoimi zabijakami, którzy szanowali go niczym polscy legioniści Napoleona. Wśród jego cech pisarka wymieniała: szaloną ambicję, pogardę „dla codziennej, powszedniej etyki", dziką odwagę, a przede wszystkim tajemniczą siłę, która pozwalała mu prowadzić ludzi w bój, podkomendnych, którzy ufali mu i byli do niego fanatycznie przywiązani. Sam Jaworski „kochał swych żołnierzy miłością dziką i czułą zarazem".

JAWORSKI URODZONY W 1892 R. WOJACZKĘ MIAŁ WE KRWI. GDY WYBUCHŁA WIELKA WOJNA, STUDIOWAŁ AGRONOMIĘ W KAMIEŃCU PODOLSKIM. SZYBKO ZREZYGNOWAŁ Z NAUKI I NA OCHOTNIKA WSTĄPIŁ DO ROSYJSKIEGO 12. PUŁKU HUZARÓW.

eprasa.pl 10f1732c5d

Cezary Leżeński i Lesław Kukawski, autorzy pracy „O kawalerii polskiej XX wieku”, pisali o Jaworskim, że był to oficer wielkiej odwagi i fantazji, nie bardzo mieszczący się „w ramach dyscypliny regularnej armii”. Reporter „Kuriera Warszawskiego” zaś nazwał zagończyka „jednym z najtęższych, najdzielniejszych rycerzy kresowych”.

O podkomendnych Jaworskiego autorka „Pożogi” pisała, że oddział składał się „prawie wyłącznie ze starych zabijaków, nieulękłych w bitwie, straszliwych w spotkaniu, surowych i karnych, niedziwiących się niczemu”. Byli tacy, ponieważ tak zakochali się w wojaczce, że istnieć bez niej nie mogli.

Dzielni bojownicy

Większość oficerów z oddziału partyzanckiego Jaworskiego pochodziła z Podola. Niemal wszyscy znali swego dowódcę, gdyż mieszkali w pobliżu Cyganówki, w której mieścił się dom Jaworskich. W „Pożodze” można przeczytać, że ich majątki legły w gruzach i popiołach, dlatego oni starali się choć chronić od zagłady inne polskie dwory. Więc chronili, za wrogów mając i bolszewików, i zrewolucjonizowane chłopstwo ukraińskie. Zofia Kossak-Szczucka wielokrotnie opisała ich walkę.

Partyzantom zdarzało się walczyć nie tylko z czernią, piechotą lub kawalerią bolszewicką, ale też z... samochodami pancernymi. Gdy oddział został przez nie ostrzelany, Jaworski ze swymi ludźmi przypadł do ziemi, a nad nimi co rusz przelatywały kule z karabinów zamontowanych na samochodach. Nie sposób było się podnieść. Najpierw mijały sekundy i minuty, potem godziny, a oni leżeli w polu, czekając na posiłki. W końcu Jaworski, widząc, że sytuacja staje się beznadziejna, ponieważ przybywa rannych, uniósł się i krzyknął: „Nie będziemy tu przecież czekać jak barany. Chłopcy! Bomby do ręki i za mną!”.

I ruszyli. Biegli przez kilka sekund i padali, by zaczerpnąć tchu. Znów podnosili się i biegli w kierunku samochodów, które nie przestawały razić ich ogniem. Byli coraz bliżej. Obsługa karabinów już nie umiała dokładnie wymierzyć. Pociski przelatywały nad głowami atakujących. W sukurs Jaworczykom przyszła w końcu artyleria, która zaczęła strzelać w kierunku bolszewików. Samochody pancerne odjechały. Bitwa była skończona. „Zmierzch zapadał, gdy partyzanci znużeni, schlapani błotem, powrócili do Antonin” – pisała Kossak-Szczucka. Feliks Jaworski miał wyglądać jak upiór z powodu strug skrzepłej krwi na twarzy. „Był draśnięty przez kule piętnaście razy. Zawsze nieszkodliwie. Granatowy huzarski kożuszek był porwany na plecach raz koło razu jak pocięty batem. Jedno ucho miał postrzelone pięć razy. Zwisało w frędzlach jak u wojowniczego jamnika. Najcięższą stosunkowo ranę otrzymał w piętę” – czytamy w „Pożodze”. Wtedy ponad dwudziestu partyzantów było rannych, sześciu zginęło.

GDY POLSKA SIĘ ODRODZIŁA, MAJOR NIE ZŁOŻYŁ BRONI, WCIĄŻ WALCZYŁ, A W CZASIE WOJNY Z BOLSZEWIKAMI ZOSTAŁ KILKUKROTNIE RANNY. W 1920 R. OTRZYMAŁ ORDER VIRTUTI MILITARI.

„MIAŁ ZGINĄĆ W OKOLICZNOŚCIACH SZCZEGÓLNIE TRAGICZNYCH”. NIESTETY, NIE WIEMY, JAKIE TO OKOLICZNOŚCI.

Innym razem zagończycy Jaworskiego, którzy musieli opuścić dwór w Tereszkach, po powrocie zastali go w zgliszczach. „W miejscu zaciszne go domu, przepełnionego pięknymi rzeczami, stały bezkształtne szkielety murów bez okien, drzwi, dachu, czerniejące wywalonymi jamami kominów, opłakane w swojej grozie. Dziedziniec zarzucony był strzępami książek, szczątkami porcelany, połamanych mebli, obrazów... Zabudowania w niewiele lepszym były stanie.

Zdawać się mogło, że złe duchy tu działały lub przeszło straszliwe wstrząśnienie kosmiczne. Wokoło nie było widać żywego ducha” – relacjonowała pisarka. Szybko jednak się okazało, że jednak ktoś był, zza opłotków padły strzały w kierunku Polaków. Strzelali ukraińscy chłopi, którzy przed chwilą obrócili w perzyny tutejszy dwór. Ułani odpowiedzieli ogniem. Celowali lepiej. Po dwugodzinnej walce chłopi uciekli, zostawiając na miejscu kilkudziesięciu zabitych towarzyszy.

Społeczeństwo antonińskie, wdzięczne Jaworskiemu, wystosowało do niego wypisany na pergaminie ozdoby adres, który został uroczyście wręczony zagończykowi, a zaczynał się od słów: „Do Polskiego Oddziału Partyzanckiego Porucznika Feliksa Jaworskiego. Ku pamięci potomnych i żyjących współrodaków, na świadectwo prawdzie i sprawiedliwości, ku uczczeniu bohaterów, zmarłych z ran lub martwymi podniesionych z pola bitwy – iżby zasługa nie została bez nagrody, a nieulękłe męstwo bez płaszcza chwały, co czyni śmierć milszą – my tu, w Antoninach, zebra-

eprasa.pl 10f1732c5d

ni Polacy, stwierdzamy niniejszym naszą wdzięczność i podziw bez granic dla dzielnych bojowników sprawy narodowej".

Gdy Polska się odrodziła, major Feliks Jaworski nie złożył broni, wciąż walczył, a w czasie wojny z bolszewikami został kilkukrotnie ranny. W 1920 r. otrzymał Order Virtuti Militari. We wniosku napisano m.in., że Jaworski w bitwie pod wsią Łuczenki, w nocy z 21 na 22 lutego 1920 r., zaatakował nieprzyjaciela ze swoim oddziałem. „Dochodząc do wsi, mjr Jaworski natrafił na krzyżowy i flankowy ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Nie wahając się ani chwili, mjr Jaworski puścił się naprzód w błyskawicznym «hurra» na bagnety, porywając za sobą oficerów i żołnierzy, złamał opór kilkukrotnie silniejszego nieprzyjaciela, zdobywając wieś Łuczenki...". Wypad Jaworskiego i jego ludzi doprowadził do „kompletnego rozbicia i zniszczenia" 427. Pułku Piechoty Sowieckiej.

Rodzinna tragedia

Włodzimierz to miasto leżące dziś na Ukrainie, a w przeszłości w granicach Rzeczypospolitej, o które zresztą w listopadzie 1918 r. polscy żołnierze walczyli z Ukraińcami – między innymi właśnie Feliks Jaworski, który został wtedy ranny.

Właśnie we Włodzimierzu zamieszkał po przejściu do rezerwy major Jaworski, awansował w marcu 1919 r. Pięć lat później, w marcu 1924 r., w gazetach ukazały się teksty, których bohaterem – niestety negatywnym – był Feliks Jaworski, jego nazwisko czasami przekręcano na „Dąbrowski". Żurnaliści pisali o znanym wśród obywateli Włodzimierza i nie tylko majorze rezerwy Feliksie Jaworskim, który „w przystępie rozstroju nerwowego popełnił straszliwy czyn, pełen przygnębiających następstw". Być może za „rozstrojem nerwowym" stała choroba alkoholowa zagończyka. Pisarz Michał Pawlikowski w swej powieści „Wojna i sezon" opisał Jaworskiego jako nałogowego alkoholika, który upijał się „zawsze na ponuro".

Według prasowych relacji, w niedzielę, 16 marca 1924 r., Jaworski ruszył z samego rana na objazd majątku, w którym pracował jako administrator. Gdy wróciło do domu, wdał się w awanturę z matką, z którą mieszkał. W pewnym momencie Jaworski wyjął z kieszeni Browninga i strzelił do matki, zabijając ją na miejscu. Reporterzy nie pisali, ile padło strzałów, jeden czy więcej, ale huk był na tyle głośny, że sąsiedzi wezwali policję. Na miejsce przyjechała również żandarmeria wojskowa. Jaworski zaczął się ostrzeliwać, nie tylko z pistoletu, ale otworzył również ogień z dubeltówki. Jeden ze strzałów trafił przypadkowego przechodnia, który zmarł. W końcu Jaworski ochłonął lub skończyła mu się amunicja i oddał się w ręce policjantów i żandarmów.

Gazety pisały, że słynny kawalerzysta już wcześniej zdradzał „objawy nierównowagi psychicznej". Co do dalszych losów Feliksa Jaworskiego, są one niejasne. Jedni dziennikarze pisali, że z Włodzimierza przewieziono go do lwowskiego Państwowego Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie. W innych tekstach można przeczytać, że żandarmi przetransportowali go do miejscowego więzienia, które wybudowano w czasach zaborów.

W jednym dziennikarze się zgadzali, że Jaworski był dowódcą słynnego oddziału kawalerii partyzanckiej, który odznaczył się niezwykłą brawurą w walkach podjazdowych w okresie wojny z bolszewikami i ukraińskimi chłopami.

Tadeusz Hołówko, który w 1931 r. został zamordowany przez ukraińskich nacjonalistów, zostawił po sobie wspomnienia „Przez dwa fronty", w których wspominał o Feliksie Jaworskim. Tak o nim pisał: „Był żołnierzem z krwi i kości, dla którego wojaczka jest żywiołem i radością. Był typem tego Polaka, którego przed wojną diabli nieśli aż do Legii Cudzoziemskiej w Afryce, byle bić się – wszystko jedno z kim".

PUBLICYSTA PIOTR ZYCHOWICZ NAPISAŁ, ŻE W 1938 R. JAWORSKI JESZCZE ŻYŁ, NA CO WSKAZUJE WNIOSEK Z CZERWCA TEGO ROKU O NADANIE MU KRZYŻA NIEPODLEGŁOŚCI.

Wspomniany Pawlikowski napomknął, że Feliks Jaworski „miał zginąć w okolicznościach szczególnie tragicznych". Niestety, nie wiemy, jakie to okoliczności. Na pewno zagończyk trafił do szpitala w Kulparkowie. Publicysta Piotr Zychowicz napisał, że w 1938 r. Jaworski jeszcze żył, na co wskazuje wniosek z czerwca tego roku o nadanie mu Krzyża Niepodległości. Co się z nim działo później, czy dożył wejścia Sowietów do Lwowa w 1939 r., czy uciekł ze szpitala i walczył z Sowietami, czy został zastrzelony przez NKWD? Tego nie wiemy.

eprasa.pl 10f1732c5d

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Działacze „S” z PKP Cargo wygrywają w sądzie



Fot. pexels.com

Pierwszy proces zwolnień grupowych w PKP Cargo ruszył 3 lipca 2024 roku i potrwał do końca października. Spółka w ciągu czterech miesięcy zredukowała zatrudnienie z 13 711 do 10 046 pracowników – o 27 procent. Z pracą pożegnało się więc 3665 osób, z czego umowy o pracę wypowiedziano grupie 2515 pracowników, a z innych przyczyn z firmy odeszło 1150 osób. PKP Cargo chciało w ten sposób uzyskać oszczędności i poprawić kondycję finansową spółki.

Ta redukcja zatrudnienia objęła także byłego szefa kolejarskiej Solidarności, Henryka Grymela, który otrzymał od pracodawcy wypowiedzenie na początku września 2024 roku – dwa miesiące przed osiągnięciem wieku emerytalnego. 23 lipca 2026 roku Sąd Rejonowy Katowice-Zachód w Katowicach uznał, że zwolnienie dwóch członków Solidarności z PKP Cargo, w tym Henryka Grymela, odbyło się niezgodnie z prawem i nakazał wypłatę odszkodowania na ich rzecz.

Radca prawny śląsko-dąbrowskiej „S”, Paweł Szczepańczyk, zaznaczył, że w grupie zwolnionych pracowników z PKP Cargo znalazło się wielu działaczy NSZZ „Solidarność”, co było przejawem dyskryminacji jednego związku zawodowego. Prawnik dodał, że w ustnym uzasadnieniu wyroku dotyczącym Henryka Grymela sędzia zwróciła na to uwagę: – Wskazała, że kryterium doboru do zwolnienia było dyskryminacyjne i odnosiło się do jego działalności związkowej, a osobą, która wskazała go do zwolnienia, był najprawdopodobniej prezes Marcin Wojewódka – przekazał radca prawny cytowany przez śląsko-dąbrowską Solidarność.

– Dla mnie ten wyrok jest szczególnie ważny nie ze względu na rekompensatę finansową, ale na to, że potwierdza fakt, iż pracodawca celowo uderzał w działaczy kolejarskiej Solidarności – podkreślił Henryk Grymel.

DZIĘKI UPOROWI SOLIDARNOŚCI SZYB „GRZEGORZ” ISTNIEJE

W Zakładzie Górniczym Sobieski w Jaworznie odbyła się 13 lipca uroczystość zakończenia głębienia szybu „Grzegorz” – inwestycji realizowanej przez Południowy Koncern Węglowy. W wyniku przeprowadzonych prac szyb osiągnął głębokość 591,2 m i średnicę 7,5 m, a do jego wykonania zużyto około 18,6 tys. m^3 betonu.

Szyb „Grzegorz” pozwoli na efektywną eksploatację złoża „Dąb” znajdującego się na pograniczu województw śląskiego i małopolskiego. Wydobycie węgla z tego złoża ma ruszyć w czwartym kwartale 2027 roku.

eprasa.pl 10f1732c5d


Fot. M. Żegliński

„Planowana przez Komisję Europejską pozorowana reforma systemu ETS może, zamiast poprawić, wręcz zaszkodzić europejskim firmom i przyspieszyć przenoszenie produkcji poza UE”.

Dariusz Brzęczek, przewodniczący opolskiej „S”, solidarnosc.org.pl/opole, 24 lipca br.

O znaczeniu inwestycji, jaką jest szyb „Grzegorz”, mówił w wywiadzie opublikowanym na stronie Górniczej Solidarności Dariusz Piechowicz, przewodniczący Solidarności w ZG „Sobieski”. Związkowiec przypomniał, że inwestycja była w przeszłości zagrożona, ponieważ pojawiły się „poważne perturbacje finansowe, co sprawiło, że realizację projektu zawieszono na dwa lata”.

„Podczas uroczystości zorganizowanej 13 lipca nikt się nawet nie zająknął, że to Solidarność włożyła największy wysiłek w przypominanie politykom o konieczności dokończenia budowy szybu, kiedy wszyscy o sprawie zapomnieli. To Solidarność pisała pisma do instancji decyzyjnych każdego szczebla, to Solidarność nagłaśniała problem poprzez wywiady, jakich udzielał przewodniczący Waldemar Sopata. Doskonale wiem, ile telefonów wykonał Władek i ile rozmów przeprowadził – również podczas negocjacji nad treścią umowy społecznej. Wspierał nas w tym wszystkim przewodniczący Komisji Krajowej Piotr Duda. Dzięki uporowi Solidarności szyb «Grzegorz» istnieje” – stwierdził przewodniczący Piechowicz.

„Niestety, niektórym przez usta nie przejdzie najmniejsza nawet wzmianka o naszym związku zawodowym. Tak właśnie było teraz, podczas fety towarzyszącej zakończeniu głębienia szybu. Politycy obecnej władzy dość bezczelnie przypisali sobie coś, co nie jest ich zasługą” – dodał.

Mówiąc o samej inwestycji, szef NSZZ „Solidarność” w Zakładzie Górniczym Sobieski podkreślił, że szyb „Grzegorz” to bardzo nowoczesna konstrukcja, która przyniesie wymierne korzyści dla tamtejszej kopalni: „Dzisiaj, żeby dotrzeć do ściany, górnicy po zjeździe na dół pokonują prawie 10 kilometrów. Ten szyb całkowicie skróci im dojście do miejsca pracy, a co za tym idzie – wydłuży się czas pracy w samej ścianie, przez co więcej będzie można tego węgla wydobyć” – tłumaczył.

„Nasza koncesja na wydobywanie węgla z pola, w pobliżu którego zlokalizowany jest «Grzegorz», obowiązuje do 2063 roku. I choć umowa społeczna regulująca zasady transformacji górnictwa zakłada wygaszenie kopalni «Sobieski» nieco wcześniej – przypomnę, że chodzi o rok 2049 – to nie sposób przewidzieć, co się do tego czasu wydarzy. Ostatnie lata przyniosły nam wiele niespodziewanych zdarzeń, które całkowicie «przemeblowały» stosunki gospodarcze na świecie. Najpierw pandemia, potem pełnoskalowa napaść Rosji na Ukrainę, teraz wojna Stanów Zjednoczonych z Iranem. Tym bardziej nie wiadomo, co się stanie do roku 2049 – czyli przez najbliższe 23 lata. Nie można niczego wykluczyć – również tego, że węgiel «wróci do łask». Dzięki szybowi «Grzegorz» na taki scenariusz już dziś jesteśmy przygotowani” – zaznaczył przewodniczący Piechowicz.

BLOKI WĘGLOWE PODZIAŁAJĄ DŁUŻEJ

Zarząd i Rada Nadzorcza PGE GiEK postanowiły wydłużyć czas działania bloków węglowych w Elektrowni Rybnik. Spółka ogłosiła, że blok nr 5 zakończy pracę w drugiej połowie 2026 roku, blok nr 8 – w 2027 roku, a bloki nr 6 i 7 będą pracować jeszcze w pierwszej połowie 2028 roku. Łączna moc czterech bloków węglowych wynosi dziś 900 MW.

Wcześniejszy harmonogram likwidacji jednostek węglowych w Elektrowni Rybnik zakładał, że dwa bloki węglowe zostaną wygaszone do końca czerwca 2026 roku, a pozostałe dwa będą działały jeszcze w 2027 roku.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

5.08.2010 – Sejm RP ustanawia nowe odznaczenie w postaci Krzyża Wolności i Solidarności. Jest ono przyznawane osobom, które swymi zmaganiami z systemem komunistycznym w latach 1956–1989 przyczyniły się do odzyskania przez Polskę wolności;

7.08.1980 – zwolniono z pracy Annę Walentynowicz, działaczkę Wolnych Związków Zawodowych, co stało się bezpośrednią przyczyną strajku w Stoczni Gdańskiej.

eprasa.pl 10f1732c5d



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje:
Zakładowe układy, czyli lęk przed stabilnością

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Wielu uważa, że praca przewodniczącego to głównie czytanie ustaw, oficjalne debaty i negocjacje płacowe w blasku fleszy. To piękny mit. Kiedy jednak opadną pierwsze emocje, a związkowa codzienność rusza pełną parą, jako szef organizacji zaczynam dostrzegać zjawiska, które w polskiej rzeczywistości gospodarczej zakrawają na paradoks. Jednym z nich jest niemal paniczna niechęć do Zakładowych Układów Zbiorowych Pracy (ZUZP). Słowo „układ” w naszym kraju wciąż kojarzy się dwuznacznie, ale w świecie prawa pracy to najwyższa forma porozumienia. Dlaczego więc tak rzadko po nią sięgamy?

Z perspektywy wielu zarządów i dyrektorów HR Zakładowy Układ Zbiorowy to odpowiednik mitologicznego potwora, który tylko czeka, by związać firmie ręce i doprowadzić ją do bankructwa. „Po co nam układ, skoro mamy Kodeks pracy i nowoczesny regulamin?” – to najczęstszy argument, który słyszę przy stole negocjacyjnym.

To fascynujące zjawisko psychologiczne: management woli co roku rzeźbić w prowizorkach, zmieniać regulaminy pod wpływem chwilowych nastrojów rynku i żyć w permanentnym stanie niepewności, zamiast usiąść i spisać jasne, stabilne zasady gry na lata. Układ zbiorowy jest traktowany jak kajdany, a nie jak konstytucja firmy, która gwarantuje spokój społeczny. Wolimy zarządzać kryzysem niż relacjami.

Ale bije się w pierś również nasza strona. My, pracownicy i działacze, też często odpuszczamy ten temat. Dlaczego? Bo wywalczenie układu zbiorowego wymaga wyjścia ze strefy komfortu. To nie jest załatwienie sprawy uszkodzonej listwy na hali, o którą każdy się potyka (choć to też ważne!). Układ wymaga strategicznego myślenia, godzin analiz, twardych negocjacji i – przede wszystkim – jedności załogi.

Często wolimy żyć z dnia na dzień, narzekając na korytarzach na system awansów czy niejasne premie, niż podjąć realny trud sformalizowania naszych praw. Boimy się, że „pracodawca się wścieknie”, że to za trudne, że „i tak się nie uda”. W efekcie oddajemy walkowerem narzędzie, które daje nam realną władzę nad własnym losem w zakładzie pracy.

Sarkazm polega na tym, że firmy, które zdecydowały się na mądre układy zbiorowe, rzadko kiedy żałują tej decyzji. Zyskują coś bezcennego: lojalność pracowników, przewidywalność kosztów i jasne kryteria awansów, które ucinają korytarzowe plotki o faworyzowaniu „znajomych królika”. Układ zbiorowy to po prostu dojrzałość biznesowa.

Warto w tym miejscu przytoczyć niezwykle mądre i dające do myślenia słowa amerykańskiego pisarza i filozofa Jamesa Freemana Clarke’a:

„Słabi ludzie czekają na okazje, silni ludzie je tworzą”.

Nie czekaj, aż pracodawca z własnej woli da ci stabilność, jasne premie czy gwarancje zatrudnienia. System sam z siebie nie zadba o twoje bezpieczeństwo. Zakładowy Układ Zbiorowy Pracy to nie jest luksus dla wybranych – to prawo, które czeka, aż po nie sięgniesz.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 10f1732c5d

PRAWO

ZASIEDZENIE CZĘŚCI DZIAŁKI PRZEZ SĄSIADA – czy płot może zmienić granicę własności?

Kilkanaście lat temu sąsiad postawił ogrodzenie. Przyznaję, że wcześniej nie zwracałem na to większej uwagi, bo wydawało mi się, że płot przebiega w granicy działek. Niedawno chciałem przepisać wszystko na dzieci, więc – żeby wszystko było, jak trzeba – wynająłem geodetę, który wykazał, że płot sąsiada stoi około metra na mojej nieruchomości. Po rozmowie z sąsiadem zdziwiłem się – uważa on bowiem, że skoro korzysta z tego pasa od wielu lat, ziemia należy już do niego. Czy rzeczywiście może ją zasiedzieć?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

To jedna z najczęstszych przyczyn sporów między właścicielami nieruchomości. Wiele osób jest przekonanych, że granicę działki wyznacza ogrodzenie. Tymczasem płot nie zawsze pokrywa się z granicą wynikającą z ewidencji gruntów czy dokumentów geodezyjnych. Czy sąsiad może nabyć część cudzej nieruchomości przez zasiedzenie? Tak, ale nie dzieje się to automatycznie. Zasiedzenie zostało uregulowane w art. 172 Kodeksu cywilnego i wymaga spełnienia ściśle określonych przesłanek. Najważniejszą z nich jest posiadanie samoistne. Oznacza to, że osoba korzystająca z gruntu zachowuje się jak właściciel, ogrodziła teren, użytkuje go wyłącznie przez siebie, ponosi koszty jego utrzymania i traktuje go jako własny. Samo sporadyczne korzystanie z fragmentu cudzej działki nie prowadzi do zasiedzenia. Drugim warunkiem jest upływ czasu. Jeżeli posiadacz był w dobrej wierze, termin zasiedzenia wynosi 20 lat. Jeżeli wiedział lub powinien był wiedzieć, że grunt nie należy do niego, konieczne jest nieprzerwane posiadanie przez 30 lat. O tym, czy ktoś działał w dobrej, czy złej wierze, decydują okoliczności konkretnej sprawy. W praktyce błędem jest przekonanie, że wystarczy postawić płot i odczekać kilkanaście lat. Sam upływ czasu nie wystarcza. W razie sporu to osoba powołująca się na zasiedzenie musi wykazać przed sądem, że spełniła wszystkie ustawowe przesłanki. Nie bez znaczenia pozostaje również zachowanie właściciela nieruchomości. Jeżeli przez lata tolerował ogrodzenie, nie interesował się przebiegiem granicy i nie podejmował żadnych działań, może to mieć znaczenie dowodowe. Nie oznacza jednak, że automatycznie utracił własność. O zasiedzeniu każdorazowo rozstrzyga sąd po przeprowadzeniu postępowania dowodowego. Jeżeli właściciel zorientuje się, że sąsiad korzysta z części jego działki bez podstawy prawnej, nie powinien zwlekać z reakcją. Warto ustalić rzeczywisty przebieg granicy z pomocą geodety, a następnie, w razie potrzeby, wezwać sąsiada do usunięcia naruszenia. W niektórych przypadkach konieczne będzie wystąpienie do sądu z powództwem o wydanie nieruchomości lub o rozgraniczenie.

Dlatego ważne jest, by nie utożsamiać przebiegu ogrodzenia z granicą własności. Im dłużej trwa nieuregulowany stan faktyczny, tym trudniejsze może okazać się późniejsze dochodzenie swoich praw. W sprawach dotyczących granic działek warto działać od razu, zanim wieloletnie korzystanie z gruntu stanie się argumentem w sporze o zasiedzenie. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 10f1732c5d

RYSUNEK NA KONIEC **KRYSZTOPA**



Nasi autorzy

Sebastian Reńca (Najdzielniejszy..., s. 66), pisze dla nas od roku 2024. Jego najnowsza powieść „Wykidajło" ukazała się w roku 2025 (wydawnictwo Prozami). Jest to to historia pełna zwrotów akcji, w której wojna wdziera się wszędzie – w życie, sumienie i codzienność. Druga książka „Szuler", wydana w 2025 r. (wydawnictwo Arcana), to reportaż historyczny o „królu" Mojżeszu Merinie i jego poddanych żyjących w gettach Zagłębia Dąbrowskiego podczas niemieckiej okupacji.

Piotr Skwieciński (Szczegół..., s. 57), jeden z najbardziej doświadczonych polskich dziennikarzy i publicystów. W przeszłości był m.in. prezesem Polskiej Agencji Prasowej czy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika „Sieci". W latach 2019–2022 dyrektor Instytutu Polskiego w Moskwie. Następnie ambasador RP w Armenii. Jego najnowsza książka to „Koniec ruskiego miru? O ideowych źródłach rosyjskiej agresji" (2022).

Marek Sobczyk (Okładka, s. 1), jeden z najbardziej cenionych polskich malarzy. Autor „Manifestu Kina Grawitacyjnego" i współtwórca Gruppy, artystycznego kolektywu odwołującego się do nurtu tzw. Nowej Ekspresji.

Hanna Szymerska (Flamingi..., s. 42), publicystka zajmująca się państwami Europy Centralnej, zwłaszcza Węgrami. Mówi po węgiersku i podróżuje często do tego kraju.

Konrad Wernicki (Jak działa..., s. 65), nasz redakcyjny specjalista od marketingu, nowych technologii, mediów społecznościowych i nowych rewirów polskiej pracy. Pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2017 roku.

Stanisław Żaryn (Pułapka..., s. 30), pierwsze publicystyczne kroki stawiał w „Tygodniku Solidarność". Później był zastępcą ministra koordynatora służb specjalnych i pełnomocnikiem rządu Mateusza Morawieckiego do spraw bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP, doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy. Jest prezesem Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 10f1732c5d

KLIMATY STOCZNIOWE

HISTORYCZNA

SALA BHP

I STOCZNIA GDAŃSKA

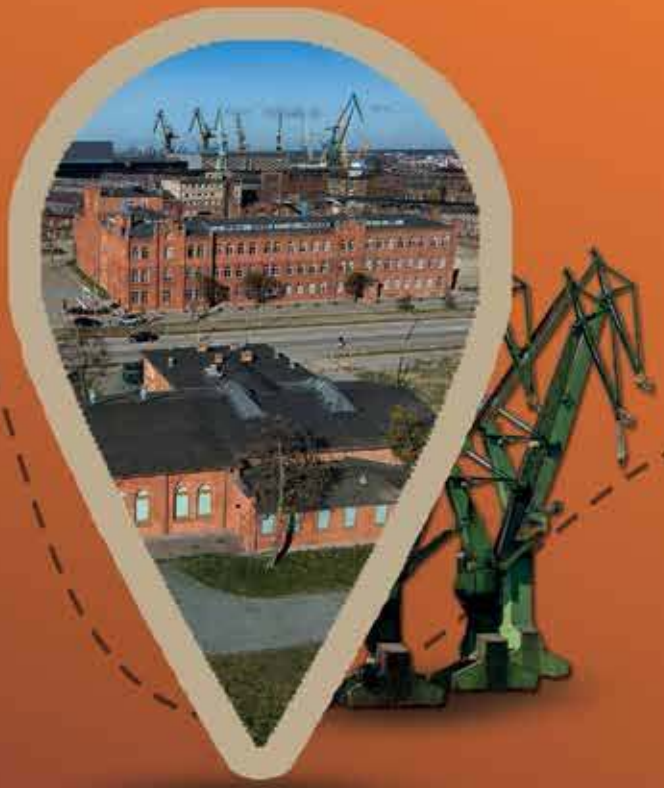

Fundacja Promocji Solidarności

NSZZ Solidarność

WYCIECZKI

Z PRZEWODNIKIEM

WWW.SALABHP.PL/REZERWACJE

eprasa.pl 10f1732c5d

„PÓKI CZAS"

ANTONINA KRZYSZTOŃ

MARCIN LAMCH - KONTRABAS
MANOLO ALBAN-JUAREZ - PERKUSJA
PAWEŁ STANKIEWICZ - GITARA

W SALI BHP

22. SIERPNIA, GODZ. 19.00

ZAPRASZAMY NA WYJĄTKOWY KONCERT
W 45. ROCZNICĘ I FESTIWALU PIOSENKI
PRAWDZIWEJ „ZAKAZANE PIOSENKI"

SALA BHP STOCZNI GDAŃSKIEJ,
UL. KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI 6

BILETY KUPISZ NA **BILETYNA.PL**

PATRON HONOROWY
NSZZ Solidarność

ORGANIZATORZY
Fundacja Promocji Solidarności
Sala BHP

PATRONI MEDIALNI
Tygodnik Solidarność
tysol.pl

eprasa.pl 10f1732c5d